Nr. 20. Lwów, Niedziela dnia 13. Stycznia 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

GŁODNI WŁAŚCICIELE. *)

Głód u naszego ludu, głód chroniczny bo powtarzający się co wiosny, bez względu czyli był nieurodzaj, czyli nie był; coraz to większa nędza i potęgująca się z każdym rokiem lichwa, która w następstwie ogólną grozi ruiną: oto są niebezpieczne objawy, które słusznie cały kraj niepokoją i zniewalają do uważania za kwestyę żywotną zbadanie głównej przyczyny tych objawów. Nim przystąpimy do bliższego rozpatrzenia sprawy, zwróćmy uwagę na dwa pewniki, a mianowicie: że słabość jednego członka jest słabością całego organizmu i odwrotnie; powtóre, że dobry lekarz nim przepisze lekarstwo, stara się poprzednio dokładną zrobić diagnozę. Odnośnie do naszego przedmiotu to znaczy, że nie tylko lud, ale i cały kraj cierpi; nie koniecznie więc przyczyny tej słabości szukać nam tylko pośród chat wieśniaczych, są bowiem jeszcze inne symptoma tej samej słabości, a to: brak rzemiosł i drobnego przemysłu, dalej ogromny brak czeladzi i robotników, a ztąd upadek większych gospodarstw i niepodobieństwo rozwoju jakiegokolwiek przemysłu w kraju. — Wielu już suszyło sobie głowy nad wynalezieniem przyczyny i mniej więcej dotychczas nadaremnie — wyliczano, nie przeczę, ważne powody, jak: bezmyślność, lenistwo, pijaństwo i t. d. lecz takowe są skutkiem a nie przyczyną. Bezmyślność była i dawniej, — lenistwo stare jak świat— jest ono wrodzone każdemu człowiekowi, który tylko zmuszony podejmuje się pracy; pijaństwo zaś od lat kilku zmniejszyło się znacznie, a mimo to złe wzmaga się z każdym rokiem. Przedewszystkiem odpowiedzmy na pytanie, z jakiej kategoryi tego ludu indywidua wystawione są na głód i niedostatek? czy robotnicy? czeladź najemna? rzemieślnicy? czy w końcu posiadacze roli? Stanu zarobników nie ma w naszym kraju; czeladź jest poszukiwaną — każdy znajdzie łatwo umieszczenie, gdy nie we dworze to u majętniejszego włościanina; rzemieślnik, choćby mało uzdolniony, zarobi jednak tyle, że mu na życie starczy; jedynie tylko włościanin, posiadacz roli, zostaje w największej nędzy, obdłuża się po uszy, co wiosny brakuje mu zboża na zasiew, a częstokroć, co gorsza, nawet kęsa czarnego chleba do opędzenia głodu. Jaka tego przyczyna? Przysłowie powiada: „małe dziedzictwo to wielkie kalectwo" — tak jest, niestety! głęboka prawda mieści się w tem przysłowiu, i zdaniem naszem, to przysłowie rozwiązuje zagadkę głodową i przyczynę kalectwa kraju. „Żeby koza nie skakała, to by nogi nie złamała", powiada drugie przysłowie, a nasz kraj skakał i następstwem tego jesteśmy teraz niewolnikami swawoli. Wolność a swawola, to dwa całkiem odrębne pojęcia. Zgubne są wszelkie ustawy oparte na samej teoryi, a nie zastosowane do ogólnej potrzeby kraju.

Po zniesieniu stosunków poddańczych, włościanie nasi nie mogli zrazu wyrobić sobie dokładnego pojęcia o własności. Było to obowiązkiem prawodawcy jasno określić nowe stosunki, oznaczyć niezbędne granice, jakie dla nieruchomej własności są wymagane, jakoteż pewne warunki i ten lud, jako małoletni, wziąć przynajmniej czasowo w opiekę. Własność każdemu jest pożądaną, nie przeczę, lecz zważmy, że ziemia a do tego rola, jako rzecz wielce realna, niezbędnie winna być traktowaną całkiem realnie — inaczej bowiem, gdy ją na ułomki rozdrobimy, a wiatr rozmiecie w powietrzu, utraci ona tem samem właściwy swój charakter nieruchomości. Fakta najlepiej dowodzą, że mówię prawdę. Nadana ustawą wolność dzielenia gruntów włościańskich, bez określenia minimalnej objętości, była błędem ogromnym, a była ona wodą na młyn naszego ludu. Trzeba wiedzieć, że lud nasz ma wszelkie ze szlachtą pokrewne zalety i wady. Każdy z nich kocha zagon ojczysty, czuje pociąg do pracy około roli, każdy pragnie być possessionatus — do obowiązku, do służby, staje dopiero zmuszony ostatecznością, a wszystkie z reguły rzemiosła są dla niego wstrętne.

Włościanin uważa to za ujmę własnej godności, gdy nie jest gospodarzem — właścicielem; wolność dzielenia gruntów przyszła mu w pomoc do zadośćuczynienia powyższym skłonnościom. Zaczęła więc familia włościańska dzielić swe grunta dwunastumorgowe najpierw na połowę, następnie na ćwierci, dalej morg na pół niwy, użyska, pół użyska a w końcu nawet grządki w ogrodzie na połówki i na ćwiartki. Choć od lat trzydziestu ludność się wzmogła, gruntów zaś ubyło, bo wielką część takowych nabyli żydzi; pomimo to wszyscy prawie włościanie są gospodarzami, są dziedzicami roli. Często trafia się, że trzej a nawet więcej gospodarzów z familiami mieszkają w jednej chacie, cisną się jak śledzie w beczce; bądź co bądź, gospodarz nie pójdzie w służbę, nie pozbędzie swej własności, choć niepodobieństwem jest, aby z takowej mógł wyżyć. Weźmy na przykład posiadacza jednego a choćby dwu morgów roli. W jesieni zaraz po najlichszej cenie sprzeda on swe zboże na opędzenie potrzeb. Przez zimę żywi się kartoflą, barszczem i fasolą zebraną z ogrodu, na wiosnę gdy śniegi topnieją, zasobów już brakło, o zbożu na zasiew ani mowy niema. Krowinę jedną, jeśli ma, wodzi co tygodnia na targ do miasteczka licząc na cud Boży, że gdy tę sprzeda, potrafi kupić lepszą za tańsze pieniądze; nie potrzeba mówić, że każdym razem żydzi oszukują go, — nadto w ciągu roku tem włóczeniem się po targach traci kilkadziesiąt dni roboczych. Jako gospodarz, sprawi w jesieni choć jedne pominki (bo tak wszyscy gospodarze robią), praźnik, znów zaproszą go na chrzciny, to za poczesne idzie robić do księdza, do arendarza, to znów sąsiadowi pomódz i tak rok jakoś upłynie a zarobić na życie nie było kiedy. Należy wziąć jeszcze na uwagę, że zapłacić ma podatek gruntowy, domowy, dodatek gminny, na szkołę, szarwark, egzekucyjne i t. d. No i cóż dziwić się, że lichwa i głód prześladują tego właściciela jednego morga pola? — Zdaje mi się, że ten pobieżnie naszkicowany obrazek dostatecznie wykazuje

*) Równocześnie z oddaniem do druku artykułu „Rozdrobienie gruntów włościańskich" (patrz Nr. 19) otrzymaliśmy obecny artykuł, rozstrząsający tę samę kwestyę z innej strony. Ponieważ sprawa jest bardzo ważną, pospieszamy zamieścić go także.

skutki ustawy o wolności dzielenia gruntów. Ktoby zaś wątpił, że tak jest rzeczywiście, niech przejdzie się do chat wieśniaczych, a obaczy podobnych i jaskrawych jeszcze obrazów całą galeryę, z którychby można pyszną urządzić wystawę — kwestya by tylko zachodziła, komu dawać medale zasługi. Ten niewierny Tomasz ujrzy również gospodarstwa dworskie w największym upadku, z powodu braku uczciwej czeladzi, obsługiwane prawie przez same wyrzutki społeczeństwa; w gospodarstwach tych konie z powybijanemi oczyma, lub połamanemi nogami, woły i krowy z poodtrącanymi rogami i t. p. a budynki, narzędzia rolnicze i uprzęże poniszczone i popsute z prawdziwym wandalizmem. Na koniec znajdzie całe okolice kraju, w których nie ma bodaj jednego rzemieślnika, jako to: kowala, szewca, stelmacha lub cieślę. Ale za to na każdym kroku, na każdej skibie ziemi sami są gospodarze, sami właściciele, nędzarze z torbami.— Powyższe wszystkie uwagi skłoniły mię, iż roku przeszłego na Walnem zgromadzeniu Rady ogólnej delegatów Towarz. gospodarskiego stawiłem był wniosek następującej treści: Zważywszy, że wolność dzielenia gruntów bez oznaczenia minimalnej wymaganej objętości przechodzi w swawolę, która pociąga za sobą zgubne dla kraju skutki.

Zważywszy, że skutkiem takiego rozdrobienia gruntów, rola utraca w końcu właściwy jej charakter, na czem już nie tylko dotkliwie cierpią pojedyńcze jednostki, ale także cierpi całe gospodarstwo krajowe;

Zważywszy, że głód chroniczny ludu i nędza corocznie się powtarzająca, spowodowane są w głównej części skutkiem zbytniego rozdrobienia gruntów, albowiem za małe takowych obszary nie mogą dostarczyć wyżywienia dla całych familii;

Zważywszy, że rozdrobienie gruntów wytwarza z jednej strony proletaryat posiadaczów roli w niedostatecznych siłach do własnej egzystencyi, z drugiej zaś czyni coraz gwałtowniejszy brak potrzebnych rąk do pracy, czem powoduje upadek większych gospodarstw w kraju, rzemiosł, rękodzieł i przemysłu;

Zważywszy nakoniec, że rozdrobienie gruntów najbardziej przychodzi lichwiarzom w pomoc i ułatwia wywłaszczenie włościan;

Poleca się komitetowi wnieść petycyę do W. Sejmu, ażeby W. Sejm uchwalić raczył, iż wolność dzielenia gruntów ogranicza się do minimalnej objętości 5ciu morgów."

Po długiej nad tym wnioskiem dyskusyi, zapadła uchwała, aby odstąpić takowy komitetowi do zbadania i do zdania sprawy na przyszłem zgromadzeniu. Było to niejako łagodnem przejściem do porządku dziennego a w każdym razie przewleczeniem piekącej sprawy. Ja wszelakoż nie skonsternowany niepowodzeniem, starałem się ile możności wyświecić tę sprawę, a czując gwałtowną potrzebę ustawy ograniczającej wolność dzielenia gruntów, podaję niniejszem wniosek mój do publicznej wiadomości w tej nadziei, że w kraju znajdą się może ludzie, którzy godząc się z myślą przezemnie podniesioną zechcą ją poprzeć i domagać się jej urzeczywistnienia.

Zdzisław Onyszkiewicz.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Na ruinach rabsztynieckiego zamku Jaksa sam chodził po pustych izbach, gotując się do drogi. Stary Zacharyasz spoglądał nań od progu z posępną twarzą. Iwo rzucał i porywał z kolei broń, ubranie, jakby nie wiedział co ma wziąć, a co zostawić.

Słowa niezrozumiałe z ust mu się wyrywały, a gdy biedny sługa dopytywał o nie, nie dosłyszawszy, Jaksa go zbywał ruszeniem ramion.

Nagle tętent konia obu ich zwrócił uwagę. Rzadko on tu słyszeć się dawał, bo nikt przez gąszcze, aż pod zamkowe skrzydło nie podjeżdżał. Pan i sługa, zdziwieni, podbiegli ku oknu. Jaksa krzyknął, rzucił się ku drzwiom i piorunem zbiegł na dół. Kulawy Zacharyasz gonił go wystraszony i zdziwiony... Przed wrotami siedziała na spienionym koniu karym kobieta.

Kasztelanic zbliżył się z milczącym podziwem.

— Iwonie — rzekła głosem śmiałym — płacę dług zaciągnięty sercem, przybywam tu... jestem twoją... Bierz konia, jedźmy razem do kościoła... ksiądz niech nas połączy, natychmiast, zaraz! nie przynoszę ci niczego od Spytków, przychodzę ubogą, jakąś mnie kochał, gotową na nędzę którą podzielę. Oddałam im wszystko...

W tej chwili, złamana wysiłkiem i wzruszeniem, pochyliła się na siodle. Jaksa poskoczył, chwytając karego razem i kobietę, która omdlała zsuwała się ku ziemi.

W oczach kasztelanica błyskała radość zwycięstwa i niewysłowione uczucie. Łza, niewidziany gość na spalonej źrenicy, zwilżyła ją i spadła na białą rękę wdowy.

Omdlałą panią wniesiono do pustej sieni tych ruin, które jeszcze się zwały zamkiem rabsztynieckim.

Upłynął rok od opisanych wyżej wypadków, które spokojną dotąd okolicą wstrząsnęły w istocie jak uderzenie piorunu. Buchnęły płomienie przekleństw, urągowisk, potwarze, domysły, szyderstwa. Wszyscy w zawody rzucali kamieniami na matkę, co własne dziecko opuściła, dla kochanka młodości. Większość ani zrozumieć, ani darować jej nie chciała, że się wyrzekła zapisów, bogactwa, że po ludzku i powszednio nie wprowadziła nowego męża do Mielsztyniec, zamiast jego rabsztynieckie ubóstwo podzielać. Wprawdzie ludzie byliby tak samo hałasowali na nowe małżeństwo, jak dzisiaj, aleby ono im się naturalniejszem zdawało.

W kilka dni po wyjeździe matki, Eugeniusz poczuł, że w Mielsztyńcach pozostać nie może. Kazał przygotować do podróży wszystko i ruszył do Warszawy...

Dziecko to wczoraj jeszcze, stało się nagle aż nadto może chłodnym i rozważnym mężczyzną. Słowo nawet nie dobyło się z ust jego nazajutrz, gdy zniknięciem wdowy przerażony dwór tracił przytomność i rozpaczał.

Czuł on, że jemu należało okazać męztwo w imieniu rodu i przekonywać obliczem, że się zwyciężonym nie uznaje.

Dla starych sług było to ciosem okropnym, jaki od wieków Spytków nie dotknął; widzieli oni w nim naturalnie straszniejszą niż wszystkie przeszłe zemstę Jaksów, którzy z niewiastą, z matką rodu, porwali cześć domu i jego powagę.

Następnego poranka w kaplicy zamkowej oświała drużyna leżała krzyżem, łkając i zawodząc. Czuła, że to kres ostateczny, że nadchodziła nieubłagana ruina, że ten wypadek zabójczy zwiastował zgubę Mielsztyńcom.

Wszystkie też przez zabobonnych ludzi pochwytane znaki jakieś oznajmywały nieszczęście. Hełm z podniesioną od wieków stojący przyłbicą, przez który wyglądała zbielała głowa trupia, nagle się zatrzasnął, a gdy stary sługa nazajutrz, zdumiony, podniósł wizyr, znalazł w nim tylko czarną próżnię. Głowa znikła...*)

Biała niewiasta, z krwawem na szyi znamieniem, nocą ukazywała się, powoli przechodząc salę... W pokoju nieboszczyka Spytka widziano przez kilka wieczorów z okien bijącą łunę, jakby od katafalkowych świec, a gdy burgrabia tam wszedł, lękając się pożaru, nie znalazł nic, oprócz maleńkiej lampki przed obrazem patrona.

Cisza śmierci zawisła nad Mielsztyńcami. Nie wolno było ani wspomnieć o zaszłych wypadkach. Dla zatarcia ich śladu, Eugeniusz wyjechał natychmiast do Warszawy, przykazując, aby na zamku wszystko w dawnym utrzymało się porządku, a potajemnie wydawszy polecenie, aby matce, jeśliby się zgłosiła, dozwolono rozporządzić się tu, jako pani i dziedziczce, bez ograniczenia.

Wszakże Spytkowa, raz rzuciwszy Mielsztyńce, już się ich wyrzekła na wieki. Była to niewiasta energicznego, męzkiego charakteru i serca. Postanowiwszy poślubić ubóstwo z człowiekiem, którego niegdyś kochała, nie cofnęła się przed tem widmem bladem, które dla niej, nawykłej do dostatków, do przepychu i zbytku, straszniejszym było niż dla każdej innej.

Ale Spytkowa wyszła z ubogiego domu szlachcica, a przez lat kilkanaście jak niewolnica, jak obca sercem, nie przyrastając ani do obyczajów dworu, co ją otaczał — żyła wspomnieniami. W chwili gdy opuściła zamek, ta męczarnia przeniesiona mężnie, pierzchła z oczów jej jak sen, jak mara boleśna... wchodziła znowu w rzeczywistość, której się nie lękała.

W kilka dni dopiero po jej odjeździe z zamku, gdy stary ks. Ziemiec, zmożony prośbami i zaklęciami, pobłogosławił nowożeńcom, a ci już w Rabsztyńcach zaczynali rozgospodarowywać się nieco i myśleć o przyszłości, po sąsiedztwie rozeszła się wieść o wypadku. Nie chciano jej wierzyć zrazu, tak się ona wszystkim zdawała nieprawdopodobną, dziwną. Możnaż było przypuścić, aby dla zestarzałego człowieka, zubożałego, steranego, młoda jeszcze i milionowa pani miała się wyrzec dostatków, przyszłości, dziecięcia, imienia, swobody... wszystkiego, co jej najszczęśliwsze zapewniało położenie?

To też pierwsi co z tą wieścią po sąsiedztwie pobiegli, przyjęci byli jak bezwsty-

*) Mówiono po cichu, że ją, uchodząc pani zabrała ze sobą, aby Jaksom powrócić.

dni plotkarze. Wielu ciekawych pojechało do Mielsztyniec i dowiedziało się w miasteczku i na zamku tylko, że państwo wszyscy wyruszyli do stolicy...

Mało kto wiedział, co się działo w Rabsztyńcach, zamkniętych dla takich oczu, i że ks. Ziemiec ślub dawał. Do Jaksy nie wielu się zbliżyć śmiało, bo się go obawiano; długo więc wątpliwym pozostał los pani Spytkowej... Większa część utrzymywała, że jest z synem w Warszawie.

Tymczasem mężna niewiasta krzątała się w opuszczonych od wieku Rabsztyńcach. Z młodością w sercu, z siłą, jaką ona daje, z miłością wiosenną w piersiach, los podobny nie ustraszyłby jej pewnie choć w pustce, niedostatku i ruinie. Ale tu cięższem było zadanie, z gruzów nietylko dom, potrzeba było dźwignąć człowieka złamanego rozpaczą, zeschłego na drzazgę, zepsutego niedolą. Wdowa miała trudne nad wyraz zadanie pracowania nad sobą, nad nim, nad słabością, jaką owiewa wiek chłodniejszy, który więcej wątpi, niż się spodziewa, więcej niedowierza niżeli ufa przyszłości.

Z rozbicia tego, ze skarbów rzuconych dobrowolnie, Spytkowa nie wyniosła nic, prócz tego, co jej osobistą było własnością. Posag jej nader szczupły, szczęściem nietknięty przez Spytka, który rozkazał doń dokładać procenta i mieszać go z innymi funduszami nie dozwolił, przy odebraniu, które natychmiast uskutecznić się dało, wyniósł kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jaksa nic nie miał, oprócz tego szmata ziemi, na którym stały ruiny, a z niego w istocie, przy najzapobiegliwszej pracy, nic zrobić nie było można. Przytykała do niego wioska niewielka, niegdyś do klucza należąca. Młynica, rozdzielona tylko stawem od dworu. Szczęściem mogła być nabytą i pani Iwonowa natychmiast ją kupiła. W ten sposób, choć dwór niestosunkowo rozległym był obok małej osady, przynajmniej z czemś się wiązał i dozwalał pewne zaprowadzić gospodarstwo...

Gdybyśmy nie czerpali z podań prawdziwych, te prozaiczne szczegóły życia państwa Jaksów właściwieby tu miejsca znaleźć nie powinny. Ale dla nas wiążą się one ściślej z dziejami serca, niżby się komu zdawało. Życie ludzkie bezcielesnem być nie może, zawsze w niem przeważną rolę gra ten szkielet, który duch ożywia, a gra promieni ducha, jak na białej ścianie, musi się malować na pokładzie powszednich żywota stosunków. Tu w nowem życiu tego dziwnego stadła, każdy szczegół o jego charakterze stanowił. Praca konieczna, przymusowa, obojga małżonków, ratowała ich od zwątpienia i rozczarowania.

Jakkolwiek Jaksa miał wielkie przymioty, przecież nie byłby umiał podołać takiemu szczęściu, jakie go spotkało. Łacniej mu było kilkanaście lat rozpaczy przeżyć, niż poić się rok jednostajnem szczęściem. Aniołem - stróżem, siłą domu, jego duszą stała się wdowa, która wyrzekłszy się swej woli na lat kilkanaście, podając się żelaznej formie Spytkowskich obyczajów, teraz ją odzyskała spotęgowaną, wielką, niezłomną. Zdawało się jej nieraz samej, że dopiero życie rozpoczynała. Jaksa padał przed nią w nieustannych zachwytach... i słuchał jej już jak dziecię.

Wielkiej też zaprawdę potęgi potrzebowała ta niewiasta, którą niegdyś marmurową zwano w Mielsztyńcach, aby nie upaść pod ciężarem. Dość przypomnieć czem był Jaksa, do czego ona była nawykła, jakim smutkiem poiło ją nieustannie wspomnienie opuszczonego dziecka i niepokój o los jego...

Eugeniusz wyjeżdżając z Mielsztyniec, bo do tego przyzwoitość go zmuszała, nierad je wszakże opuszczał. W ostatnich czasach zrósł się on z niemi i z przodkami, rozczytawszy się w podaniach, nasłuchawszy powieści ludzi, związawszy się z temi wspomnieniami jakąś miłością, tem większą, że się czuł sierotą i samotnym.

Mówiliśmy o jego wychowaniu, było ono tak poprowadzone, że miało go bronić od marzeń, rozczarowywać i studzić. Dopóki żył w obcym kraju, był Eugenek w istocie wychowańcem ks. de Bury i nowej epoki... ale w Mielsztyńcach owładnęły nim tradycye i pod wpływem ich, stał się jakby napowrót dzieckiem kraju i rodziny. Targały nim te dwa prądy na przemiany i czyniły go tak nieszczęśliwym, jak są zwykle ludzie rozpołowieni życiem, którzy do zupełnej z sobą zgody nigdy przyjść nie mogą.

Eugenek często śmiał się sam z siebie i z swych zabobonów, to znów oburzał się na suche i zimne niedowiarstwo swoje. Pod cieniem tych murów, gdyby tam dłużej zamieszkał, niechybnie ostygłyby i zwietrzały wonie obcej nauki, wróciłby do dziecinnego myśli wątku; ale przewidzieć też łatwo, że opuszczając starą siedzibę, rzucając się w świat, musiał równie łacno dać sobie odżywić światu ziarna pierwszego wychowania, zgodne z duchem epoki.

Tak się też stało... Poczuł Eugeniusz oddalając się od tych biednych, smutnych, osierociałych Mielsztyniec, że widma i strachy, które tam serce jego uściskały, na jasnym dniu pierzchały powoli.

Całą drogę przedumał biedny, usiłując sobie wyrobić pewien plan na przyszłość i przyrzekając nie odstąpić od niego. Czuł, że za słabym byłby, zdając się nieopatrznie na wypadki.

Jednem z pierwszych jego postanowień było, nie wspominając o tem, co zaszło, jakby niechcąc wiedzieć o tem, co go od matki dzieliło, donosić jej regularnie o sobie. Czyby mu ona odpowiadała czy nie, przyrzekł sobie, że raz w miesiąc wyspowiada się jej ze swego życia; miał to za obowiązek dziecięcia. Nie wymógł tylko na sobie, by ją inaczej nazwał w liście, jak dawnem pani Spytkowej imieniem i przesyłał pismo do Mielsztyniec, pewien będąc, że znajdzie drogę do sąsiedniego dworu.

Gdy pierwszy list taki odebrała matka, był on dla niej wyrzutem, groźbą, przestrachem. Długo nie śmiała go otworzyć, ale odwaga nie opuszczała jej nigdy na długo. Rozłamała pieczęć i zdziwiła się radośnie, nie znajdując ani słowa, któreby drażliwe położenie nowe przypominało. Syn, jakby odjechał od niej na chwilę, przypominał się jej i uniżenie ze swych czynności tłumaczył.

Niepodobna mu było nieodpisać... ale list matki był suchem błogosławieństwem i milczącym uściskiem. Ona nie mogła mu ze swych trosk, pracy i powszednich wypadków się spowiadać; jej życie nowe było oddzielone nieprzebytą od dawnego granicą.

Młody Spytek zjawił się w Warszawie nieznany nikomu, z nazwiska nawet obcy wszystkim... zmuszony szukać rodziny i stosunków. Z początku posądzono go nawet, że to imię mógł nosić i przybrać nieprawnie; dopiero krewni jego babki, Lubomirscy, i koligaci dalsi znacznych rodzin, dobrze poszperawszy w pamięci i genealogiach, przyznali się do młodego kuzyna...

Położenie to tem się przykrzejszem zdawało, że go wypytywano o rodzinę, o ojca o matkę, a dziwiąc się puszczonej tak wcześnie na niebezpieczne morze świata młodości, domyślano jakichś nadzwyczajnych tego osierocenia przyczyn.

Przed najbliższymi wyznał Eugeniusz, że matka jego powtórne zawarła śluby, ale wcale im nie dał poznać, żeby się go wyrzekła i opuściła.

Młody, majętny i pięknego imienia człowiek, przedstawiający się z takim taktem instynktownym i nabytym przez wychowanie, jak nasz Spytek, musiał znaleźć uprzejme w Warszawie przyjęcie. Wyrywano go sobie, a maleńki wzrost tego człowieka, tak poważnie wyglądającego mimo młodości, prawie dzieciństwa, prześliczne rysy twarzy, jakiś smutek rozlany na jego czole, czyniły go zachwycającym.

Gdyby się Eugeniusz poddał urokom tego dworu płochego, temu kipiątkowi zabaw, szałowi używania i płochym zalotom... byłby łatwo mógł stopniami spaść na ostatnie szczeble...

Szczęściem dla niego może stało się osamotnienie. Najbliższy krewny, starzec bezsilny i chory, mało się mógł nim zajmować, choć go wielce pokochał; czuł więc Eugeniusz, że jest sierotą, i że od niego samego jego losy przyszłe zależą.

Uczyniło go to bojaźliwym i rozważnym, chociaż struło mu młodość, której ta obawa nieustanna obcięła skrzydła. Wkrótce, rozpatrzywszy się w kraju nieco lepiej, trochę za poradą pana Zaranka, więcej z własnej woli, Eugeniusz przedsięwziął podróż dłuższą za granicę. Ale cel jej pojął poważniej, niż zwykła była młodzież ówczesna; postanowił uczyć się. Zaranek potrzebował także nauki, która całą dlań stanowić miała przyszłość; podali więc sobie ręce, zgodniejsi niż kiedykolwiek, weselsi, i gdy w Warszawie gotowano się zewsząd zastawiać sieci na maleńkiego Spyteczka, jak go nazywano, gdy matki rozpowiadały o nim córkom, rozwódki rzucać się zabierały roztapiające spojrzenia, wdówki zapraszać już chciały na wieczory, aby go trochę okrzesać, Eugenek niespodzianie oddał wizyty pożegnalne wszystkim i znikł ze stolicy.

Nie znalby ówczesnego świata, ktoby go posądził, że dłużej nad dwadzieścia cztery godzin żałował straty młodzieńca. Nazajutrz już przybyły z Włoch śpiewak był lwem dnia i najpożądańszą zabawką salonów. (C. d. n.)

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

TADEUSZA KORZONA.

VICO

II.

Nowa nauka.

(Ciąg dalszy.)

Dalej następują zasady „Historyi idealnej“, które dosłownie przytaczamy:

*

LXVI. Ludzie naprzód czują, co jest *potrzebnem*, potem zważają na *pożyteczne*, następnie szukają *wygód*: dalej znów kochają się w *przyjemnościach*, potem oddają się *zbytkom*, w końcu głupieją nadużywając swego mienia. LXVII. Charakter ludów bywa naprzód dziki, potem srogi, potem łagodny, potem czuły (delicato), a nareszcie rozwiązły. LXVIII. W rodzaju ludzkim ukazują się naprzód ogromni i nieokrzesani, jak Polifemowie, potem wspaniałomyślni i dumni, jak Achilles, potem mężni i sprawiedliwi jak Arystydes lub Scypio afrykański; potem ukazują się przed nami ludzie wzniosłych cnót, a zarazem wielkich wad, którzy wśród tłumów przechodzą z rozgłosem prawdziwej sławy, jak Aleksandrowie lub Cezarowie; potem znów smutni i zadumani, jak Tyberyusze, nareszcie szaleńcy rozwiąźli i zbrodniczy jak Kaligule, Nerony, Domicyany. To spostrzeżenie wskazuje, że pierwsi ludzie musieli żyć w stanie rodziny, aby się nałożyć do posłuszeństwa jedni względem drugich, a zarazem przygotować się do posłuszeństwa prawom w miastach i państwach, drudzy, w niczem nie ustępując swym spółtowarzyszom, tworzyli z rodzin rzeczpospolitą pod formą arystokracyi, trzeci otwierali drogę do swobód ludowych, następcy ich wprowadzali monarchiczne rządy, dalsi umacniali monarchię; ostatni burzyli ją. Teza niniejsza wraz z poprzedniemi stanowi część zasad wiekuistej idealnej historyi, rządzących biegiem ludów w czasie, pod względem powstawania, postępu, stanów rozmaitych, upadku i śmierci (fini).

W dalszych LXX—LXXXII tezach wykłada Vico początki społeczeństw. Zawiązkiem społeczeństwa jest rodzina złożona z dzieci i sług (famoli); jej ojciec jest pierwszym monarchą, jak to widzimy na patryarchach, i na rzymskich patres familias w prawie XII tablic. Z czasem gdy słudzy zaczęli się przeciwko ojcom buntować, ci połączyli się w jeden stan, by skuteczniej walczyć, lecz potrzeba zgody i chęć przywrócenia posłuszeństwa zmusiła ich do ustąpienia sługom ziem, beneficyów, lenności, a tym sposobem powstały stosunki klienteli i feudalizmu. Nieograniczona władza rodzin i ich posiadłości (feudi nobili) musiała przejść pod zwierzchnią cywilną władzę stanów. Taka hypoteza musi być za prawdziwą uznana, gdyż inaczej nie podobno zrozumieć, jakim sposobem z władzy rodzinnej mogłaby wytworzyć się władza społeczna, a z posiadłości prywatnych, grunta państwowe; oraz jakimby sposobem powstały dwa stany — jeden rozkazujący, drugi słuchający rozkazów. Takie prawo o polach jest najpierwszem prawem agrarnem na świecie — innego, dokładniejszego niepodobna wymyślić. Wyróżniają się tu trzy rodzaje posiadłości, stosownie do trzech kategoryi osób: darowane, *beneficyalne* (il bonitacio) u plebejuszów; *kwirytalne*, orężem utrzymywane, a zatem szlacheckie u patrycyuszów i *najwyższe* (l'eminente) do całego stanu należące; to właśnie stanowi najwyższą władzę w rzeczach pospolitych arystokratycznych.

Pomijamy tymczasowo tezy LXXXIV do XCVI, odnoszące się do historyi rzymskiej, lecz zanotujemy celniejsze myśli z następnej grupy (XCVII—CIII) o wędrówce ludów. XCVII: „Niech mi wolno będzie twierdzić, a rozum wcale temu żądaniu nie sprzeciwia się, że po potopie ludzie pierwotnie mieszkali na górach; po niejakim czasie zeszli na równiny, po upływie zaś długich wieków ośmielili się nakoniec posunąć do morskich wybrzeży". XCVIII: Strabon przechował złoty ustęp z Platona, który powiada, że po cząstkowych potopach Ogygesa i Deukaliona ludzie zamieszkiwali jaskinie u podnóża gór; widzi on w nich Polifemów, których w innem miejscu mieni być pierwszymi ojcami rodzin na świecie; potem na stokach gór jak Dardanus, założyciel Pergamu, owej późniejszej cytadeli trojańskiej; na ostatku w dolinach, jak to widzi na Ilusie, który przeniósł Troję na dolinę, przylegającą do morza i nazwał Ilionem. Powody wędrówek i zakładania osad upatruje Vico w uciekaniu przed dzikiemi zwierzętami, w ściganiu kobiet lub w poszukiwaniu wody i pastwisk.

W końcu tezy CIV—CXIV, obejmujące zasady prawa przyrodzonego, postawione są głównie dla sprostowania systematów Grocyusza, Seldena i Puffendorfa, którzy mniemają, że sprawiedliwość przyrodzona była znaną od początku ludom pogańskim. Vico dowodzi, że pierwotnie istniała tylko sprawiedliwość cywilna i prawo cywilne, oraz że prawo przyrodzone wszczepionem zostało przez Opatrzność.

Oprócz tego długiego szeregu „Proposizioni", Vico uznał jeszcze za potrzebne dodać w osobnym rozdziale trzy główne podstawy, na których tworzą się i utrzymują wszystkie społeczeństwa a mianowicie: 1. że wszystkie narody mają pewną religię; nie ma i nie było narodu ateistycznego, 2. że wszystkie ludy zawierają uroczyste małżeństwa, 3. że wszystkie grzebią swych nieboszczyków.

Do ostatecznego ugruntowania zasad służy wykład metody, podług której rozwijać się będzie Nowa Nauka. Początkiem jej będzie pierwszy objaw myśli o bóstwie, która rodzi się w głowie każdego, dzikiego nawet człowieka. W dalszym rozwoju nauka ta okazywać będzie, w jaki sposób boska opatrzność przeprowadzała egoistycznego człowieka przez stany rodzinny i miejski aż do stanu społeczności ludzkiej. Z tego względu nowa nauka będzie rozumowaną społeczną teologią opatrzności bożej; będzie ona przedstawieniem historycznem, faktycznem opatrzności, historyą jej wyroków, wedle których ta wielka społeczność rodzaju ludzkiego bez wiedzy i rady, a częstokroć wbrew zamiarom samychże ludzi rządzoną była. A chociaż świat ten został stworzony w czasie i w sposób szczególny, prawa jednak (gli ordini), przez opatrzność nadane, pozostaną powszechnemi i wiekuistemi. W ciągu swych badań nowa nauka będzie się posługiwała: 1. dowodami teologicznymi, 2. logicznymi czyli ścisłym rozbiorem pomysłów ludzkich o potrzebach i pożytkach życia społecznego, a zatem będzie zarazem historyą ludzkich idei, 3. do oznaczenia epoki i miejsca, gdzie się te idee poczęły, użytą będzie krytyka, nietylko filologiczna, ale jeszcze metafizyczna co do założycieli narodów, sprawdzana powszechnem poczuciem rodzaju ludzkiego, 4. dowody filologiczne rozjaśnią bajeczną historyę pierwszych ludów, znaczenie podań ludowych i wielkich pomników po starożytności pozostałych, a wcale niezrozumiałych tymczasem. Przedstawią one w rzeczywistości te same rzeczy, któreśmy dawniej dostrzegli przy rozmyślaniach o świecie idealnym. Tym sposobem dowody filozoficzne i filologiczne będą się wzajemnie wspierały i sprawdzały. Jest to metoda przez Bakona przepisana: Cogitare videre.

Ostateczna konkluzya księgi Iej jest taka: „Ponieważ zasady nowej nauki zawierają się w uznaniu opatrzności bożej, w umiarkowaniu namiętności przez małżeństwa i w nieśmiertelności dusz ludzkich, stwierdzonej pogrzebami; ponieważ sprawdzian jej (criterium) zawiera się w tem wszystkiem, co cały rodzaj ludzki lub większa część ludzi uznaje za prawidło życia społecznego; ponieważ z temi zasadami oraz z tym sprawdzianem zgadza się mądrość naturalna wszystkich prawodawców i mądrość rozmyślająca najsławniejszych filozofów: więc tu należy zakreślić granice dla rozumu ludzkiego, a ktokolwiek chciałby te granice przekroczyć, niechże baczy, aby nie oddalił się od całej ludzkości".

Księga II. pod dziwnym nieco tytułem: „O mądrości poetyckiej" zawiera objaśnienia do przytoczonych tez, oraz badanie początków cywilizacyi we wszystkich jej częściach składowych. Zaznaczymy tu tylko dla przykładu kilka najbardziej uderzających argumentów i wniosków.

Początki religii (naturalnie pogańskiej) leżą w przerażeniu, w strachu sprawionym przez uderzenie owego pierwszego piorunu w parę set lat po potopie (a we sto lat dla Mezopotamii, ponieważ tyle potrzeba czasu, aby ziemia mogła wydać „suche wyziewy" i materyały ogniste). Przy rozbudzonej ciekawości, przy wyłącznem działaniu wyobraźni, poeci, a wtedy wszyscy ludzie byli poetami czyli twórcami, natworzyli mnóstwo bóstw w postaci istot żywych, zmyślali i zarazem sami zmyśleniom wierzyli. Zatem religie pogańskie zostały przez poetów stworzone. Początki filozofii czyli logiki poetycznej leżą w mytologicznych bajkach, w zmysłowych i fantastycznych obrazach Jowisza, Cybeli, Neptuna; z czasem wykształciła się władza abstrahowania, i te ogromne postacie nieba, ziemi, morza stały się małemi, lekkiemi, tak dalece, że Jowisz mógł latać na skrzydłach orła, Neptun przebiegał morze na małej skorupie, a Cybela mogła się zmieścić na grzbiecie lwa. Język owoczesny, jeszcze bardzo ubogi, składał się przeważnie z przenośni czyli tropów. Jak dzieci przenoszą imiona pierwszych napotkanych mężczyzn, kobiet, rzeczy na wszystkich innych ludzi i na wszystkie inne podobne rzeczy, jak Egipcyanie, podług Jamblichiusza odnieśli wszystkie dogodności ludzkiego życia do Merkurego Trismegisty, tak samo poetycka mowa i jej niezbędne cechy, rozwijając się w czasach historycznych na podobieństwo bystrej i wielkiej rzeki, wydała przesadne tradycye: 1. o Solonie, któremu Ateńczycy przypisali wszystkie instytucye demokratyczne; 2. o Romulusie, na którego przeniesiono wszystkie prawa o stanach; 3. o Numie, któremu przypisano wszystkie świętości i ceremonie religijne; 4. o Tullu Hostyliuszu prawodawcy i organizatorze wojskowości; 5. o Serwiuszu Tuliuszu, który miał urządzić cens i być założycielem rzeczypospolitej demokratycznej; 6. o Tarkwiniuszu starym, który miał wynaleźć wszystkie oznaki majestatu rzymskiego; 7. o Decemwirach, którym prócz prawa XII tablic przypisano mnóstwo innych późniejszych, jak naprzykład o zbytku przy pogrzebach; 8. o Drakonie, którego prawa miały być krwią pisane, a który jest po prostu godłem władzy społecznej, jak jeden z wężów Gorgony na tarczy Perseusza i Minerwy; 9. o Ezopie, na którego przeniesiono wszystkie cechy poetyckie plebejuszów a który musiał żyć znacznie wcześniej, niż siedmiu mędrców; 10. tak samo na pierwszych twórców mądrości ludowej — Zoroastra, Trysmegistę, Orfeusza, Pytagorasa, Konfucyusza przeniesionemi zostały cechy mądrości filozo-

ficznej. W dalszym rozwoju umysł ludzki wydał *topikę* czyli sztukę dostrzegania różnych stron w przedmiocie, celem poznania go w całości i nareszcie *krytykę*, która nadaje umysłom przymiot ścisłości. Tu historya ludzkich idei stwierdza się cudownie przez historyę samej filozofii, która zaczęła się w epoce poetyckiej od autopsyi czyli dowodzenia przez zmysły, przeszła w symbole i przykłady (u Ezopa), wydała dyalektykę indukcyjną Sokratesa, potem syllogizm Arystotelesa i soryt Zenona. Odtąd filozofia nie wydała żadnych godnych uwagi owoców; słusznie więc Bakon zaleca indukcyę. Początki moralności i cnót upatruje Vico we wstrzemięźliwości: nastraszeni łoskotem owego pierwszego piorunu olbrzymowie zaczęli powściągać zwierzęce swe skłonności, mieszkać na jednem miejscu, a każdy z nich usiłował wciągnąć do swej jaskini jednę tylko kobietę na towarzyszkę życia. Tym sposobem powstało małżeństwo, czyli związek cielesny, zawarty wstydliwie pod obawą jakiegoś bóstwa. Początkiem narodów są rodziny; w nich ludzie odbierali wychowanie duchowe i cielesne. Co do ostatniego można domyślać się, że synowie postradali kształty olbrzymie i przybrali zwyczajną postać skutkiem obaw religijnych, surowości rządów ojcowskich i uświęconych zmywań ciała. W rozdziale poświęconym „polityce poetyckiej“ Vico dowodzi z Homera, Liwiusza, Tacyta, Tucydydesa etc. jakim sposobem pierwotna arystokratyczna organizacya skutkiem przypuszczalnego buntu sług przeciwko bohaterom czyli naczelnikom rodzin przeistaczała się w demokratyczną rzeczpospolitą wśród ciągłych wojen pomiędzy miastami, np. 10-letnia trojańska i wejentyńska (te dziesięć lat są określoną cyfrą, zastosowaną do długiego szeregu lat, w ciągu których trwały zatargi). Cechy bohaterstwa u pierwszych ludów są następujące: 1. wychowanie dzieci surowe; 2. kupowanie żon za posagi (coemptione et farre); 3. dorobek syna, oszczędność, żony stają się własnością naczelnika rodziny, 4. zabawy utrudzające i niebezpieczne; 5. nieświadomość zbytku i przyjemności towarzyskich; 6. wojny noszą charakter religijny a zatem okrutny, 7. z wojen wyradza się niewolnictwo jeńców. Te cechy potwierdzają zasadę, że to były arystokratyczne państwa i że w nich zrodziło się pojęcie ojczyzny, patria (res) to jest sprawa należąca do ojców. Fizykę poetycką wyciąga Vico z bardzo dowcipnego tłumaczenia wyrazów łacińskich np. sum, viscera, anima i animus, ora, vultus, pectora, corda, praecordia etc. Pokrótce charakteryzuje kosmografię, astronomię poetycką, a ztąd przechodzi do chronologii poetyckiej. Ponieważ bóg czasu, Saturn, otrzymał swe miano od nasion (a satis), więc Vico wnioskuje, że pierwotną miarą czasu była ilość żniw, a pierwotną nazwą roku był po prostu kłos albo słomka, dopóki ludzie byli niemowami. Urządza nawet „Kanon chronologiczny“ do czasów pierwotnych przed-Ninusowych, „przy pomocy intelligencyi a bez udziału pamięci, która nie ma tu nic do czynienia, ponieważ nie ma faktów“. Otóż opierając się na zasadzie jednostajnego rozwoju wszystkich ludów, oznacza autor 900 lat na wiek pierwszy, z wyjątkiem Latyńców, którzy zbliżyli się do morza przez zabranie portu Ostyi nieco później, a 200 lat na epokę bohaterską tj. na wycieczki Minosa, wyprawę Argonautów, wojnę trojańską, podróże bohaterów; wtedy Tyr stał już nad brzegiem morza, i kwitnął handlem. Przytem wyraża ubolewanie, że znakomici chronologowie, jak kardynał d'Alliac, Petowiusz i Skaliger budują swe badania na roku astronomicznym, a nie chcą, stosownie do aksiomatu 106, zaczynać swej nauki od tego punktu, gdzie się przedmiot zaczyna tj. od nasion Saturna. Drugiem okiem historyi bajecznej jest geografia poetycka (jak chronologia pierwszem), i oto Vico dowodzi, że cała geografia zrodziła się w Grecyi pierwotnej i że potem nazwy miast, gór, rzek greckich osadnicy przenosili coraz dalej na nowoodkrywane miejscowości, np. Azya, Azya mniejsza; Hesperya, wielka Hesperya, ostatnia Hesperya i td. Nareszcie w zamknięciu powiada, że poeci teologiczni byli poczuciem, a filozofowie pojęciem mądrości ludzkiej.

(C. d. n.)

CHYBIONE MAŁŻEŃSTWO.

Szkic z życia Irlandczyków w Ameryce.

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

Obszerna, kształt pół-księżyca mająca zatoka New-Yorska, gdzie tysiące okrętów znajduje wygodną przystań, połączoną jest z morzem cieśniną, blisko czterech kilometrów długą, a przeszło jeden kilometr szeroką.

Gdy podróżujący okrętem, spragnieni widoku ziemi, przybywając do Nowego-Yorku, wpływają w tę cieśninę, przedstawia im się na lewo górzysta i skalista wyspa „States-Island,“ na której pagórkach widzą gdzie niegdzie wspaniałe i obszerne wille bogaczów wielkiego miasta, na prawo zaś długą a wąską półwysepkę „Long-Island,“ pokrytą zielonością.

Zieloność ta świeża i miła, przyjemne wrażenie sprawia na podróżnych, którzy przez kilkanaście lub kilkadziesiąt dni widzieli po nad sobą tylko chmurzące się i często gniewliwe nieba, a pod stopami mętną i burzliwą wodę Oceanu.

Na półwysepce, o której mówimy, są porozrzucane małe, lecz schludne domki z zielonemi okiennicami. Przy każdym z nich jest ogródek, otoczony sztachetami także na zielono pomalowanemi. Ale chociaż ręka ludzka starała się nadać im kolor jak najwięcej zbliżony do barwy trawy, pokrywającej półwysepkę, nie mogła jednak dojść do naśladowania dokładnie tej cudownej zieloności i zaraz znać, że okiennice i sztachetki malowali ludzie a wyspę i trawę na niej rosnącą stworzyła natura.

Domki te są zamieszkałe po największej części przez Irlandczyków, którzy przybywszy do Nowego świata biednymi, pracowali ciężko i ciągle, a rozsądnie grosz oszczędzając, potrafili zebrać sobie jaki taki kapitalik, na zakupienie kawałka ziemi, postawienie na nim małego domku, otoczenie ogródka sztachetami, kupno kilku krów i trzody, a nareszcie wybudowanie jednego lub paru małych statków, które im służą do połowu ryb; bo naśladując najbogatszych nawet Amerykanów, którzy mimo wielkich, bardzo wielkich majątków, pracują, nie przestają i oni, chociaż przy zasobniejszem mieniu, dalej pracować i zwiększać dostatek domowy.

Blisko piąta część ludności Nowego Yorku, czyli przeszło 200.000 mieszkańców, składa się z samych Irlandczyków, którzy tam podejmują najcięższe prace, mianowicie ładowanie i wyładowywanie nieobliczonej liczby okrętów, odpływających w różne części świata i przybywających z rozmaitych stron. Praca taka wprawdzie bardzo ciężka i bardzo mozolna, wymagająca nadzwyczajnej siły, jest doskonale wynagradzaną, bo każdy robotnik zarabia dziennie od $2^1/_2$ do $3^1/_2$ dolarów (od 5ciu do 7iu zł.)

Pomimo jednak tak znacznego zarobku, wyjątkowo tylko mała część tych pracowników oględną jest na przyszłość. W ogóle bowiem Irlandczycy, przeniosłszy ze swego kraju do Nowego świata zwyczaj częstego zakrapiania się ginem (Dżinem) i wiskey, zostawiają cały swój zarobek w niezliczonych baar-room (szynkach) gęsto położonych przy nadbrzeżach fortu.

Wstrzemięźliwsi tylko zatem, skoro się czegoś dorobią, osiedlają się na półwysepce „Long-Island,“ a to z przyczyny jej nadzwyczajnej zieloności, która im przypomina ich ukochany „Erin“ (Irlandyę).

Do tych ostatnich należał Patrik Wad, który oprócz zalet pracy i oszczędności, miał z jednej strony szczęście posiadać młodą, pulchniutką, przystojną żonkę, a z drugiej zaś nieszczęście, znaleźć w swej towarzyszce życia charakter niezgodny, kłótliwy, ciągle mu dokuczający, który do tego stopnia martwił Patrika, iż zaledwie kilka miesięcy upłynęło od osiedlenia się na zielonej wyspie i urządzenia wszytkiego jak należy, biedaczysko, zamiast spokojnie korzystać z zarobku uzbieranego przez długie lata ciężką pracą i wielką oszczędnością, zachorował i umarł, zostawiając niezgodną jejmość panią mająteczku, tak krwawo przez niego zapracowanego.

Po śmierci męża dopiero Mistriss Wad poznała, jaki straciła skarb i żałowała szczerze, iż swoim zgryźliwym charakterem tak za życia mu dokuczała. Stała się więc od tego czasu łagodną jak owieczka. Była jedna tylko okoliczność, która wzbudzała w niej jeszcze namiętność gniewu, a tą była wiadomość, że któremu z jej sąsiadów, połów raków morskich więcej dopisał, aniżeli jej.

Połów tych płazów skorupiastych jest rzeczą nadzwyczaj korzystną na drugiej półkuli świata; wielu bowiem amatorów na nie się tam znajduje, a sprzedaż ich codzienna na targach New-Yorskich z łatwością i korzyścią się odbywa. Nieboszczyk mąż Mistriss Wad, wiedział dobrze o tem, sprawił więc dwie duże krypy i wynalazł w skalistych parowach, na przeciw leżącej wyspy „States-Island,“ miejsca uczęszczane przez raki morskie. Póki mu zdrowie służyło, jeździł tam codziennie z pomocnikiem nad wieczorem, zastawiając sidła; nazajutrz zaś z rana znaczną zawsze ilość tego ulubionego przez Jankiesów przysmaku wiózł na targ wielkiego miasta.

Mistriss Wad tak się przyzwyczaiła do tego codziennego a dosyć znacznego dochodu, że nie mogła w myśli dopuścić, aby który z jej sąsiadów podobnie korzystny handel prowadził. Wyobrażała sobie ona bowiem, iż poszanowanie ogólne, na jakie nieboszczyk jej mąż zasługiwał, powinno było jej nadawać niejako monopol na tę sprzedaż. A że po śmierci Patrika Wad rybacy przez nią najmowani nie tak obfity połów zyskiwali, zatem dochód był znacznie zmniejszony, czem młoda wdówka bardzo się gryzła i jedynie ta okoliczność o burzliwy gniew ją przyprawiała.

W kilka miesięcy po śmierci Patrika, gdy już myślano, że pierwsza żałość wdowy po trochu koić się zaczynała, mnóstwo zalotników kręciło się koło niej, w nadziei, iż gdy żałoba minie a przyzwoitość dozwoli, młoda jeszcze wdówka, nie

chcąc samotnego nadal życia prowadzić, wejdzie w powtórne związki małżeńskie; a że Mistriss Wad była przystojną, a przytem posiadała ładny domek z ogródkiem, parę morgów pastwiska i kilka statków do połowu raków morskich, partya więc, jak to mówią, była dobrą; każdy z konkurentów starał się skarbić łaski młodej wdówki, tusząc sobie, że będzie szczęśliwszym od innych współzawodników.

Lecz miłości dziwna władza, (jak jakaś piosenka mówi), zrządziła, iż żaden z tych zalotników, z których jedni zalecali się pracą i statecznością, inni jakiemś mieniem, inni znów przystojnością lub związkami rodzinnymi z nieboszczykiem, nie podobał się wdówce. Rzuciła ona okiem na jednego z trzech młodych nicponiów, którzy nie chcąc ciężko pracować przy ładowaniu i wyładowywaniu okrętów w porcie New-Yorskim, wystawili sobie, niedaleko domku wdowy, trzy lepianki z ziemi, gdzie obrali mieszkanie, a zdobywszy się we trzech na kupno czółenka i jednej sieci, trudnili się wspólnie niby połowem ryb, a istotnie hulali tylko i próżniaczyli, żyjąc nie wiedzieć z czego, ot — zapewne z cudzej krzywdy.

Ten z nich, który młodej wdowie się podobał, nazywał się Patrik (przez skrócenie wołano na niego Pat) Nelligan, i może właśnie dla tego uczuła ku niemu sympatyę, iż nosił imie nieodżałowanego jej męża, którego cnoty i zalety teraz dopiero oceniła... Niestety! trochę zapóźno, bo dopiero po jego śmierci.

Pat Nelligan zatem, gdy spostrzegł, że młoda wdówka ma się ku niemu, zaczął udawać zakochanego w niej zalotnika. Myślał on sobie: gdybym się z nią ożenił, mógłbym bezkarnie swoje ulubione życie, to jest birbanckie i próżniacze, nadal prowadzić. Lecz Pat Nelligan był związany sojuszem łotrowstwa z dwoma swoimi kolegami, którzy mieszkali około niego w lepiankach z ziemi, i z nimi oddawna krzywdził młodą wdowę.

Trzech bowiem tych młodych na małą skalę bandytów, uradziło między sobą, zaraz po śmierci Patrika Wad, którego nieco szanowali, a po trochę się i bali, iż Mistriss Wad jako wdowa nie potrzebowała sama dla siebie zbierać codziennie tak obfitego plonu z połowu raków morskich, i postanowili się z nią dzielić... co też dokonywali w następujący sposób:

Na raki morskie nie zastawiają się sieci, jak zazwyczaj na ryby, lecz sidła w kształcie okrągłej klatki, zrobionej z gałązek wikliny, których jedne końce są silnie umocowane na dnie, drugie zaś sterczące do pewnej wysokości, bywają ucinane i zagięte na wewnątrz, tworząc u góry małe próżne kółko. W środku klatki zakładają na wędkę dosyć spory kawałek świeżego mięsa, który gdy zoczy płaz skorupiasty, żarłoczny na podobny przysmak, chce go złapać i pędem leci ku niemu. Ruchome u góry gałązki wikliny uchylają się wówczas pod ciężarem zdwojonym przez bieg raka i ten z łatwością wpada w zasadzkę; lecz gdy po uczcie zamyśla się z niej wydostać, gałązki najeżone ku niemu, przeszkadzają do cofnięcia się i chcąc nie chcąc musi pozostać.

Klatki te spuszczają się każda osobno w morze, za pomocą cienkiej lecz długiej i mocnej liny, na której końcach znajduje się z jednej strony ciężar, aby z łatwością szła na dno, z drugiej zaś jest przyczepiony kawałek drzewa korkowego, dla wskazania miejsca, gdzie się klatka znajduje. Pospolicie sidła takowe zastawiane bywają wieczorem, a nad ranem przyjeżdżają rybacy wyciągać przez noc zdobyty połów.

Otóż gdy rybacy najmowani przez Mistriss Wad zastawiali sidła na raki w parowach wyspy „States-Island,“ jeden z trzech nicponiów, o których wyżej była wzmianka, jeździł za nimi czółenkiem na zwiady, potem zaś w późną noc, wszyscy trzej razem wybierali z kilku klatek połów i wieźli na targ do miasta. Przywozili oni zawsze z sobą nie wielkie kawałki mięsa świeżego dla założenia na wędki w klatkach, które rabowali, lecz z przyczyny krótkiego czasu i pory nadrannej, rzadko bardzo w te same klatki, z których już raz zdobycz zabraną była, powtórnie tejże nocy wpadała, a wędki z tej przyczyny zostały nie tknięte, co bardzo dziwiło i rybaków Mistriss Wad i ją samą, a dochody jej znacznie się zmniejszyły.

Jednego razu, Pat Nelligan (będąc już zalotnikiem wdowy), oraz jego przyjaciele Jeny Green i Bill Slatery, potrzebowali większych jak zwykle funduszów, na uprojektowaną przez nich pohulankę, na którą zaprosili kilku znajomych z miasta. Tego dnia, a raczej tej nocy, umyślili oni zabrać cały połów ze wszystkich klatek i takim sposobem zdwoić swój nieprawy codzienny dochód; jadąc tedy na wyprawę mieli z sobą jak zwykle kawałki mięsa świeżego, dla założenia na nowo na wędki, lecz usłyszawszy jakiś szelest i myśląc, że ich śledzono, odjechali spiesznie, a gdy nad ranem rybacy Mistriss Wad przybyli i wyciągnąwszy z wody jedne sidła po drugich, nie zastali nigdzie ani zdobyczy, ani wędek z mięsem, zrozumieli wówczas, ,że ktoś w nocy bezczelny rabunek popełnił i donieśli o tem wdowie.

Na wiadomość tak niespodzianą, Mistriss Wad wpadła w gwałtowny gniew, i nie wiedząc co czyni, na wpół ubrana wybiegła z domu i spieszyła prosto ku wybrzeżu, chcąc zapewne się utopić. (Dok. n.)

WIARA W DUCHY

ZA NASZYCH CZASOW

napisał

B. KIEWLICZ.

(Ciąg dalszy.)

Dziwnym zbiegiem okoliczności, trudnym do wytłumaczenia, znaczna większość członków komitetu przeszła do obozu spirytualistów.

Zamiast zaradzić złemu, przyczyniono się jeszcze bardziej do jego rozpowszechnienia.

Zarząd towarzystwa dyalektycznego zrzekł się swoich mandatów, gdyż nie chciał ogłosić na swoją odpowiedzialność drukiem sprawozdania. Całość towarzystwa nie chciała go także ogłosić i komitet był zmuszony wydrukować je od siebie na własną rękę.

Sprawozdanie to podaje fakta, których członkowie komitetu, jak powiadają, byli świadkami. Fakta te są tak zadziwiającej natury, że nie można o nich czytać bez uśmiechu politowania na ustach. A jednak nasuwa się natarczywie do głowy pytanie, w jaki sposób tylu ludzi, zupełnie nie wierzących w zjawiska spirytyzmu, mogło w przeciągu lat paru zmienić zupełnie swoje przekonanie? Uwierzyć w rzeczy, które wprost sprzeciwiają się wszystkim zasadom fizyki i fizyologii, i uwierzyć tak głęboko, żeby potem mieć odwagę bronić tych faktów wobec całej burzy śmiechu i wzruszeń ramionami!

Oto w kilku słowach streszczenie rezultatów, do których doszedł komitet. Przekonają się szanowni czytelnicy, w jaki sposób władze umysłowe członków komitetu zostały w tak krótkim czasie nadwerężone.

1. Słyszano dźwięki rozmaitego charakteru, wychodzące z mebli, podłóg i ścian, odczuwano drgania ciał dźwięczących, które widocznie nie pochodziły od czynności mięśni, ani też od jakiegoś mechanicznego środka.

2. Widziano ciężkie przedmioty poruszające się bez żadnych mechanizmów, jako też bez użycia siły muskularnej, często nawet bez dotknięcia czyjejkolwiek ręki.

3. Przekonano się, że te dźwięki i ruchy pojawiały się często w sposób i w czasie żądanym przez osoby obecne i że odpowiadały zdaniami mającemi związek według umówionego alfabetu. (Przypominamy nawiasem, że głównym pośrednikiem tych rozsądnych rozmów są stołowe nogi).

4. Że odpowiedzi te są po większej części ogólnikowe; że jednak czasami (!?) są one dokładne i opowiadają fakta znane tylko jednej z obecnych osób.

5. Że warunki, w których się te fenomena objawiają, są zmienne, że jednak najważniejszym faktem jest to, iż obecność niektórych osób jest konieczną do ich pojawienia się, a niektórych innych szkodliwa; że jednak to nie zależy zupełnie od wiary lub niewiary w te zjawiska.

6. Że jednak obecność lub nieobecność tych osób nie zapewnia pojawienia się lub braku fenomenów wspomnianych. To były rzeczy, które członkowie komitetu naocznie badali. Inne rzeczy, o których się dowiedzieli z przesłuchania świadków, są jeszcze zabawniejsze i więcej odpowiadają żądaniom rozhukałej fantazyi spirytystów. Świadectwa te streszczają się w sposób następujący:

1. Trzynastu świadków wiarygodnych (!) twierdzi, że widziało ciężkie przedmioty, w kilku wypadkach ludzi, podnoszących się powoli w powietrzu i wiszących tak bez żadnej podpory.

2. Czternastu świadków widziało ręce i postacie, nie należące do żadnej ludzkiej istoty, które jednak miały wszelki pozór życia. Niektórzy z nich nawet dotykali się do tych rąk i postaci i przekonali (?!) się w ten sposób, że to nie było żadne oszustwo, ani też gra wyobraźni.

3. Pięciu świadków twierdzi, że czuli dotknięcie w rozmaitych miejscach swego ciała, pochodzące od niewidzialnej siły, gdyż ręce wszystkich obecnych były dokładnie obserwowane.

4. Trzynastu słyszało instrumenta, które same, bez ludzkiej ręki i bez mechanizmu ukrytego, grały i wykonywały dobrze rozmaite utwory muzyczne.

5. Pięciu świadków widziało, jak kładziono niektórym osobom rozżarzone węgle na ręce i głowy, a mimo to osoby te nie podlegały sparzeniu. Trzech świadków doświadczało tego na sobie.

6. Ośmiu świadków zeznaje, że otrzymało szczegółowe odpowiedzi za pomocą pukania lub pisania, które opowiadały o rzeczach pytającym osobom nieznanych, a które potem okazały się prawdziwemi.

7. Jeden (!) świadek zeznaje, iż otrzymał szczegółowe opisanie pewnej rzeczy, które oka-

zało się później zupełnie fałszywem. (Wyższa komika!)

8. Trzech świadków twierdzi, iż widziało rysunki ołówkowe i farbami, które powstawały tak prędko i w takich okolicznościach, które usuwały wszelką działalność ludzką.

9. Sześciu świadków ogłasza, iż otrzymało wiadomość o wypadkach przyszłych, które w niektórych (!) wypadkach spełniły się co do godziny i minuty.

Komitet przedkładając swoje sprawozdanie powiada:

Zważywszy, że komitet ma na uwadze charakter i wysoką intelligencyą świadków, że ich zeznania poparte są przez doświadczenia w komitecie uczynione, że brak dotąd dowodu oszustwa lub złudzenia, że ogromna ilość osób z najrozmaitszych warstw społeczeństwa wierzy w te wyłamujące się z pod zwykłych praw zjawiska, zważywszy wreszcie, że zjawiska te nie mają dotąd dobrego filozoficznego objaśnienia, komitet wypowiada zdanie, iż należałoby tę kwestyę jeszcze dalej badać i brać się do tego z najpoważniejszem usposobieniem.

* * *

Dla zrobienia sobie ogólniejszego pojęcia o tem, co robił komitet przez dwa lata, podajemy treść sprawozdania podkomitetu. Sprawozdanie to nosi Nr. 1.

Podkomitet ten miał 40 posiedzeń, na których robiono doświadczenia.

Wszystkie te posiedzenia odbywały się w prywatnych mieszkaniach członków komitetu, aby usunąć wszelką możliwość ustawienia jakichś przyrządów, lub też w ogóle zastosowania jakichkolwiek środków oszukańczych. Meble pozostawały zwykle te same, które w życiu codziennem używano. Stoły były we wszystkich wypadkach ciężkimi stołami obiadowymi, które potrzebowały wielkiego natężenia, aby je z miejsca poruszyć. Najmniejszy z nich miał 5 stóp długości a 4 szerokości.

Pokoje, meble i wszystkie sprzęty były zawsze przed posiedzeniem, podczas niego i po niem poddawane szczegółowej rewizyi, aby się przekonać, że nie ma żadnych ukrytych mechanizmów.

Doświadczenie odbywało się przy oświetleniu gazowem, nad stołem, z wyjątkiem niektórych wypadków w protokole oznaczonych. W niektórych wypadkach członkowie komitetu siedzieli pod stołem. (Przyjemne i poważne zajęcie! proszę sobie wyobrazić ładną panoramę, która się oczom trzeźwego widza przedstawiała.)

Komitet unikał używania Mediów płatnych i takich, którzy się wyłącznie temu zawodowi poświęcali.

Wszyscy byli członkami komitetu, osobami mającemi wyższe stanowiska społeczne, uczciwości nie splamionej żadnym zarzutem i bez żadnych widoków korzyści, pochodzących z fałszywego świadczenia.

Komitet odbywał kilka posiedzeń bez obecności Medium (pod Medium, jak już to wspominaliśmy, rozumiemy osobę, bez której zjawiska wspomniane albo się nie pokazują wcale, albo przynajmniej w znacznie słabszym stopniu), a to głównie w tym celu, aby się przekonać, czy nie można zjawisk podobnych wywołać ruchami dowolnemi rąk lub nóg. Żadne usiłowania w tym kierunku nie doprowadziły do celu.

Każde doświadczenie było o tyle ściśle i dokładnie prowadzone, o ile na to pozwalała inteligencya i cierpliwość wszystkich członków. Doświadczenia robiono w najrozmaitszych okolicznościach i starano się wynajdywać najrozmaitsze środki w celu wyszukania jakiegokolwiek oszustwa.

Z członków podkomitetu cztery piątych przystąpiło do badań z zupełnie sceptycznem usposobieniem, bez żadnej wiary w prawdziwość faktów, i przypisując je albo oszustwu, złudzeniu, albo też bezwiednej działalności muskułów. Dopiero po długich badaniach, najbardziej sceptyczni przekonali (!) się, że mają do czynienia z prawdziwymi faktami.

Rezultatem wszystkich badań i doświadczeń, czynionych przy pomocy wszystkich (!) środków, jakich natura dostarcza, przyszedł podkomitet do następujących wniosków:

Po pierwsze: że w pewnych stanach duchowych i cielesnych, jednej lub też kilka osób pojawia się *siła*, która wystarcza do poruszania ciężkich przedmiotów, bez użycia siły mięśniowej, a nawet bez dotknięcia i w ogóle jakiegokolwiek materyalnego połączenia.

Po wtóre. Siła ta wywołuje dźwięki pochodzące od przedmiotów, nie pozostających z nikim w związku. Że tony te rzeczywiście od tych przedmiotów pochodzą, przekonano się z faktu, że ciała te rzeczywiście drgają.

Po trzecie. Że siła ta kierowaną jest często jakąś inteligencyą.

Opis jednego doświadczenia wystarczy do zrobienia sobie pojęcia o sposobach doświadczeń używanych przez komitet:

Jak długo było jakiekolwiek połączenie z przedmiotem, wydającym dźwięki, lub się ruszającym a palcami, nogą lub też odzieniem którejkolwiek z osób obecnych, tak długo nie można było mieć pewności, że to dźwięk i ruchy wywołane są bezpośredniem działaniem jakiejś nieznanej siły.

Zrobiono więc następujące doświadczenie:

Jedenaście osób siedziało koło stołu przez czternaście minut. Przez ten czas słyszano rozmaite dźwięki i widziano różne poruszenia. Nareszcie odwrócono krzesło tyłem do stołu, tak, że części, o które się plecy opierają, odległe były od niego o dziewięć cali. Wszyscy obecni klękli na nich i położyli ręce na poręczach. W takiem położeniu nogi były naturalnie odwrócone od stołu i nie mogły doń dotknąć, ani też do podłogi. Ręce były trzymane *nad* powierzchnią stołu w odległości 4 cali.

W takiem położeniu dotknięcie do stołu było fizycznie niemożebnem.

Stół poruszył się w niespełna jednej minucie; naprzód 5 cali w jednę stronę, potem dwanaście w przeciwną; potem znowu o kilka cali w jednę i drugą stronę.

Nareszcie odsunięto się od stołu dalej, założono ręce na plecy, a mimo to stół poruszał się jak poprzednio.

Po eksperymencie przewrócono stół, rozłożono go na części, lecz nic szczególnego nie znaleziono. Odbywało się to wszystko przy jasnem oświeceniu gazowem.

Według zdania komisyi żadne złudzenie nie mogło mieć miejsca. Stoł był tak ciężki, że trzeba by było wytężenia wielkiego, by z miejsca poruszyć. Jednak wszystkie ręce i nogi były widocznemi i oszustwo można by było rozpoznać od razu. Tak twierdzi komisya.

Na podstawie tych doświadczeń komisya przyszła do wniosku, że istnieje siła, która jest w stanie poruszać ciężkie przedmioty, bez materyalnego zetknięcia i że ta siła zależy w sposób nieznany od obecności pewnych ludzi.

Niech sobie czytelnicy wyobrażą, jaka radość zapanowała w kołach zwolenników spirytyzmu po ogłoszeniu tego sprawozdania! I rzeczywiście takie sprawozdanie było dla nich nabytkiem najdrogocenniejszym, jakiego się można było spodziewać, spirytyzm zaczął się szerzyć w Anglii w sposób przerażający.

Przy doświadczeniach komitetu brał udział wspomniany już wyżej przez nas słynny uczony Crookes, który wydał potem osobne dzieło pod tytułem „Spirytyzm i nauka. Doświadczalne badania siły psychicznej“.

Zanim jednak ta praca się ukazała, Alfred Wallace, jeden z najpierwszych żyjących obecnie zoologów, prezes londyńskiego towarzystwa zoologicznego i członek Royal Society, wydał książkę pod tytułem: Pogląd naukowy na rzeczy nadprzyrodzone“ i przechylał się w niej na stronę spirytyzmu. Powiada on tam, że mimo najsceptyczniejszego badania spirytyzmu, robienia najstaranniejszych doświadczeń, przybiera on coraz szersze rozmiary. Obawia się on, że wszyscy wątpiący znajdują się w położeniu króla Avy, który nie chciał wierzyć, że lód istnieje, gdy mu o tem opowiadano. Powiada on, że woli wierzyć w cudowne zjawiska spirytyzmu, niż wierzyć, że tylu rozsądnych (!) ludzi, którzy uznali prawdziwość nauki spirytystycznej, są waryatami albo też głupcami.

(C. d. n)

SZKICE Z DZIEJÓW FILOZOFII POPULARNEJ
(wiek XVIII.)

przez

Dr. Juliana Ochorowicza.

I.

Filozofia kościelna.

(Ciąg dalszy)

Pomijam inne wywody autora, które z niesłychaną drobiazgowością do opowieści biblijnej przyczepia i wspomnę jeszcze tylko o ciekawszych. Autor oblicza wiele razy zgrzeszyli w Raju pierwsi rodzice, kto więcej zgrzeszył, dyabeł czy człowiek, i czemu to pierwsi rodzice nasi dopiero się wtenczas postrzegli nagimi, gdy zgrzeszyli? Racyonalne wywody miesza i tutaj z prostemi przenośniami. Tak np. na to ostatnie pytanie odpowiada uwagą, że albo byli jeszcze młodemi dziećmi, a więc wstydu nie znali, albo nie byli jeszcze cielesnymi ludźmi i dopiero po odebraniu jabłka Adam „cielesne“ na Ewę obrócił oczy, albo też dla tego nie czuli wstydu, „że przed grzechem mieli *na sobie niewinności sukienkę*, która gdy z nich spadła, poznali nagość swoją.“ Albo też dla tego, że ponieważ byli *urodziwi*, „nie było się czego wstydać(!)“ „Jakże tylko zgrzeszyli, zaraz się pokazała nikczemność ludzkiego ciała, wysoki rumieńca spełznął kolor, oboje kościelnej (sic) pokazali się cery, której wstydząc się, uczynili sobie zasłony z liścia.“ (str. 76.)

Rozbierając coby było, gdyby nasi pierwsi rodzice nie zgrzeszyli, dochodzi do wniosku, że w takim razie wszyscy ludzie byliby wolni, *równi* i szczęśliwi, poddaństwo bowiem nie leży w naturze rzeczy, lecz tylko z grzechu wynikło. Objaśnia to bliżej szósta Ciekawość XII Roz-

działu: *Zkąd Panonie swój mają początek a zkąd chłopkowie?*

Autor wywodzi starym obyczajem chłopów od Chama syna Noego — a szlachtę od Sema i Jafeta, potem wraca do rozbioru mnóstwa pytań moralno-teologicznych i znowu porusza kwestye kobiece niby bezstronnie, a zawsze z ironią mówiąc o tej „kostce“ niezgody na świecie, pytacza przy tej sposobności anegdotę o greckim filozofie, który wziął sobie żonę bardzo małego wzrostu, a zapytany o przyczynę tego przez przyjaciół, odpowiedział, że ze wszystkich złych rzeczy najmniejszą sobie obrał.

Zastanawia się dalej nad pytaniem: jak długo byli w Raju nasi rodzice, i tak w tej sprawie opowiada:

„Gdy Ewa zerwała zakazane jabłko, nie było przy niej na ten czas Męża, zkąd się daje poznać, że grzech w Raju był popełniony po długim czasie stworzonej Ewy; bo by to było wielkie grubiaństwo Adama, ażeby przy początkach mieszkania w Raju z ukochaną Żoną miał od niej gdzie odchodzić; nie podobna żeby Adam obudziwszy się ze snu i obaczywszy tak urodziwą Damę, nie karesował się długo z dożywotnim przyjacielem, przypatrując się cudnej urodzie pierwszej Matki naszej. Samo nawet wesele pierwszych zaślubin w naturze ludzkiej musiało się przez niejaki czas zabawić, ile przy Rajskich pieszczotach...“ „z drugiej strony są dosyć mocne racye i konjektury, że więcej nad *sześć godzin* albo *dni ośm* zabawić musieli, toć bardziej rozumieć potrzeba, że musieli jakiś czas dłuższy zażywać uciechy w Raju.“

Ostatecznie autor konkluduje hipotetycznie, że nasi rodzice przebyli w Raju całe 33 lata, a to na tej zasadzie, że... Jezus Chrystus tak długo bawił na ziemi! Odkrycie tak ważnej tajemnicy nie wystarczało jednak autorowi, chciał on jeszcze wiedzieć, w jakiej porze roku i czy rano, czy wieczór pierwsi rodzice z Raju wygnani zostali? Wątpliwość tę rozstrzyga w ten sposób, że musieli oni zgrzeszyć w południe albo zaraz po południu około godziny trzeciej, a zostali wygnani pod wieczór i zmuszeni byli błądzić wśród ciemnej nocy, bez latarni i drogoskazów. Biedni ci nasi rodzice! W dodatku trzeba wiedzieć, że miała być wówczas już późna jesień, chociaż wielu Ojców Kościoła twierdzi przeciwnie, że stało się to na wiosnę. Skromność autora nie pozwala mu stanowczo trudności tej rozstrzygnąć, ale to pewna, że litując się nad ich losem, dał im Pan Bóg baranie kożuszki. Raj istniał w Azyi na górze wysokiej, a pospolite jest ojców kościoła mniemanie, że i dziś jeszcze istnieje, tylko że kupcy i inni ludzie ciekawi do niego trafić nie mogą, bo taka jest wola boska. Nie mógł zaś być zalany przez potop, ponieważ wysoko się znajdował. „Według Ruperta, Raj jest położony bardzo blisko Nieba, ale się to zdanie nie wszystkim podobało, bo by w nim były wielkie upały, dla bliskości słońca. Św. Bazyli naucza, że Raj jest na powietrzu *In secunda Regione*, tj. między Niebem a Ziemią, w takiej wysokości jak chmury deszczowe, lecz i ta sentencya jest niby przeciwna prawdzie, ponieważ w tej elewacyi powietrze jest nie zdrowe, zimne i pomięszane.“ (Jak widzimy, autor powołuje się nawet na prawa higieniczne!) „chyba z osobliwszej Pana Boga prowidencyi nie komunikowałoby się z pospolitem powietrzem.“ Mamy więc argument przyrodniczy, przytoczony na to tylko, ażeby go zaraz wygodnem powołaniem się na wszechmocność boską obalić!

Ciekawa jest jeszcze następująca uwaga autora, którą wyraża po stwierdzeniu stanowczem, iż w powietrzu czy na górze, Raj w każdym razie dość wysoko się znajdował, ażeby mógł przetrwać potop i inne kataklizmy.

„Ategistowie, którzy Pana Boga i Stwórcy nie znają, a bardziej nie chcą znać, chociaż ich sam naturalny rozum do poznania przymusza, jako całą Historyą Pisma Św. mają za jednę bajkę, tak i o Raju, żeby kiedy miał być, albo jeszcze do tego czasu miał się znajdować, upornie nie chcą wierzyć. Ażeby sobie tembardziej błędu swego uczynili kredyt, tak sobie dyskutują: Gdyby to prawdą była, co mówi Pismo Św. o Raju, mógłby każdy Człowiek naturalnym sposobem widzieć go na ziemi, ponieważ według Histotyi Rodzaju Gen. 2. V. 10, z Raju wypływa Rzeka, która się dzieli na cztery części, z których jedna nazywa się *Pleison*, druga *Nilus*, ta oblewa całą Murzyńską ziemię, trzecia rzeka nazywa się *Tygrys*, czwarta zaś *Eufrates*, że ostatnie dwie Rzeki płyną przez Mezopotamią do Syryi i Chaldejskiej ziemi, schodząc się wraz do Babilonii, i potem znowu się rozdzielają na dwie, płynąc niedaleko zbyt od siebie aż do Persyi; które według różnych krajów, różne mają nazwiska. Gdyby tedy był Raj na świecie, mógłby każdy człowiek po tych rzekach dopłynąć do niego, które według Pisma Św. wypływają z niego, a przecież w tym interesie oszukana jest niektórych ciekawość, bo Tygrys i Eufrates wypływają z góry nazwanej *Taurus*, która Ormiańską ziemię dzieli od Mezopotamii; na tej górze nietylko żaden nie znalazł Raju, ale też ani śladu i podobieństwa jego. Toć Raj ani się znajduje na świecie, ani był kiedy — tak sobie wnoszą Ateistowie.“

Zdawałoby się, że na powyższe uwagi trudno będzie autorowi znaleść odpowiedź. Tymczasem ks. Pikulski stale obstaje przy swojem, twierdząc, że owe źródła, do których dotarto, są tylko pozornemi źródłami, i że właśnie dopiero strumienie podziemne niewidzialne, łączą te cztery rzeki... w Raju.

Rozbiera on jeszcze pytania: jakie było owo drzewo w Raju, z którego owoc Ewa zerwała? Dla czego Pan Bóg nie sprawił pierwszym rodzicom delikatnych jakich sukien, lecz proste kożuszki? Dla czego sam ich ubierał? Dla czego Ewa z początku życia swego samych synów rodziła? Jaki był wikt czyli pokarm ludzi żyjących przed potopem? Czemu z początku świata tak długo żyli ludzie? itp.

Na tę ostatnią kwestyę odpowiada kilkoma przyczynami. Raz, że cała natura była młodsza, a zatem więcej sił dawała, powtóre, że teraz jest „odmienniejsza edukacya dzieci“ i inne, mniej naturalne pokarmy. Podczas gdy dawniej mniej jadali „grubych“ potraw (mięsa), żywiąc się raczej jarzynami, które św. Paweł słabym osobom zalecał, a które sprawują *fluiditatem sanguinis*, tj. płynność krwi jako wodniste, „teraz zaś wzięli sobie za zwyczaj ludzie, samem tylko wołowem karmić się mięsem, które że jest gorące i grube, gęstą krew rodzi, a zatem dobrej nie ma cyrkulacyi. Przed tym nie słychać było tak gorących napojów, jak teraz są we zwyczaju. Jeden tylko staruszek Noe już sześćset lat mający pozwolił sobie. Teraz lada dziecię do kieliszka bierze się...“ Po trzecie upadek długoletności przypisuje autor użyciu lekarstw, które gwałt czynią naturze i najczęściej nowe choroby sprawiają. Przemawia gorąco za leczeniem dyjetetycznem bez lekarstw, które choćby jednej części ciała pomogły, drugiej szkodzą, już to w ogóle wszystkim ludziom, już też specyalnie niektórym, z przyczyny różnicy kompleksyi. „Jedne bowiem członki z natury są gorące, jak wątroba i serce, drugie z przyrodzenia zimne, jak śledziona i mózg, jeżeli tedy oziębiamy jedne, drugie naruszamy przez to... I ztąd ci to pospolicie bywają zdrowi, którzy albo nigdy, albo zbyt mało i to jeszcze w kolebce zażywali lekarstw.“ (str. 138.)

(Dok. nast.)

TELEFON.

ODCZYT PUBLICZNY

BRUNONA ABAKANOWICZA,

miany dnia 16. grudnia 1877 w głównej sali laboratoryum chemicznego lwowskiej szkoły politechnicznej.

(Ciąg dalszy.

Przejdźmy teraz do głównego przedmiotu naszego wykładu, gdyż wiadomości wstępne, któreśmy wyłożyli, wystarczą zupełnie do zrozumienia sposobu działania mówiącego telefonu Bella.

Dnia 31. października roku bieżącego wynalazca telefonu, Graham Bell, który niedawno przybył z Ameryki do Europy, miał w sali Towarzystwa telegraficznego w Londynie odczyt, w którym opowiedział historyą swego wynalazku. Odczyt ten ściągnął tłumy słuchaczów, pomiędzy którymi widziano najpierwsze znakomitości naukowe, jak np. profesora Tyndalla, profesora Stokesa, profesora Hugginsa, dr. Hugona Müllera i wielu innych potentatów w dziedzinie wiedzy. Otóż my, trzymając się tego wykładu, przejdziemy w krótkości historyą wynalazku telefonu mówiącego; da to nam możność dokładnego zrozumienia, jakie trudności trzeba było przezwyciężyć, zanim cel został osiągnięty.

Graham Bell jest rodem z Edynburga i już od wielu lat poświęcał się studyom nad akustyką, a głównie nad mechanizmem mowy ludzkiej. Wspólnie z swym ojcem, Melvillem Bellem, robił w tym kierunku liczne bardzo doświadczenia. Podczas tych badań, nasuwało mu się ciągle pytanie, w jaki sposób powstają samogłoski, tworzące podstawę ludzkiej mowy. Zanadto mało jeszcze miał wykształcenia specyalnego i nie znał wielkich prac, które w tym kierunku jeden z największych obecnie żyjących uczonych, Helmholtz, wykonał. To też gdy Bell wpadł samoistnie na pewien trop, wyjaśniający powstawanie samogłosek i zwierzył się z swą teoryą jednemu z uczonych angielskich, to się dowiedział, że jego wynalazek jest już powtórzeniem rzeczy znanych, i że Helmholtz daleko dalej te badania posunął.

Pierwszym, który postawił teorya naukową samogłosek, był znany fizyk angielski Wheatstone, a Helmholtz doprowadził ją do możliwej doskonałości. Uczeni ci wykazali, że samogłoski różnią się tak, jak tony wydawane przez różne instrumenta, tylko górnymi tonami. Wiadomo, że dźwięki mowy ludzkiej powstają w krtani przez drganie strun głosowych. Te struny mają swoje górne tony, które układem naszej jamy ustnej możemy zmieniać dowolnie i zmieniając je, mięszając w sposób różny, otrzymujemy różne samogłoski. Więc samogłoska A tem się różni

od E, że chociaż ton zasadniczy i jednej i drugiej może być jednakowym, to jednak A ma inne a E inne tony górne. Teorya ta została doświadczalnie stwierdzoną przez Helmholtza i udało mu się — dodając do tonu zasadniczego jednego kamertonu tony innych kamertonów, przedstawiających tony wyższe,—wywołać przez kombinacyą tych tonów samogłoski.

Możemy zresztą sprawdzić to sami bardzo łatwem i ładnem doświadczeniem. Podnieśmy wieko u fortepiana i przyciśnijmy jego pedał tak, żeby wszystkie struny były wolne i krzyknijmy w bliskości tych strun samogłoskę A. Struny, odpowiadające tonowi zasadniczemu i tonom górnym, drgać zaczną i usłyszymy samogłoskę A wypowiedzianą przez fortepian, jakby echo naszego własnego głosu.

Gdy się o tych nowszych rezultatach Bell dowiedział, ciągle mu się nasuwała myśl, czy też nie można byłoby przesyłać elektrycznie wszystkich tonów tworzących samogłoskę i w ten sposób na odległem miejscu ją powtórzyć. Lub czyby też w ogóle nie można było wprowadzać z odległości strun fortepianowych w drganie i tym sposobem grać za pomocą elektryczności na fortepianie.

W tym czasie przeniósł się Bell do Ameryki, do Kanady, i tam prowadził dalej swoje studya nad ulubionym przedmiotem, nad wynalezieniem telefonu. Rozpatrując rozmaite drogi, któremi można za pomocą prądu elektrycznego wywoływać tony muzyczne, przychodzimy do wniosku, że trzeba na odbierającym końcu wzbudzić drgania, odpowiadające drganiom w miejscu wysyłającem.

Otóż szczegółowe badania przekonały Bella, że mogą być trzy rodzaje prądów telefonicznych, czyli dźwięki przenoszących. Są to prądy *przerywane, pulsacyjne i faliste.* Łatwo zrozumieć, co się nazywa prądem przerywanym. Są to następujące szybko po sobie: brak i obecność elektryczności. Ten rodzaj prądu został użyty, jakeśmy to widzieli, do przenoszenia dźwięków w telefonie Reissa. Pulsacyjnymi prądami nazywa Bell takie, które są wprawdzie ciągłymi, nie przerywanymi, lecz których natężenie zmienia się nieraz raptownie; przez chwilę prąd jest słaby, potem raptem staje się znacznie silniejszym, po chwilce prąd znowu wzmacnia się odrazu, jakby skokiem, a potem słabnie znowu. Prądom falistym, najważniejszym ze wszystkich, gdyż one właśnie funkcyonują w telefonie mówiącym Bella, musimy przyjrzeć się trochę bliżej.

Jeżeli wydajemy głos jakikolwiek, to każdem drgnięciem strun głosowych naszej krtani wysyłamy w powietrze jedne po drugich fale głosowe, które powstają wskutek uderzenia jednych cząstek powietrza o drugie, przyczem naturalnie tworzą się miejsca, w których powietrze to jest zgęszczone, i inne znowuż, w których jest rozrzedzone; tworzy się, mówiąc jednem słowem, fala głosowa. Każda cząstka powietrza odbywa ruch naprzód, popycha swoją sąsiadkę i wraca napowrót. Zostańmy przy tej jednej cząsteczce, i miejmy ją przed oczyma naszej fantazyi przez jednę chwilkę. Cząstka sąsiednia, nacisnęła naszę, ta zrobiła krok naprzód, popchnęła sąsiadkę z drugiego boku i powróciła na swoje miejsce. Lecz z ust naszych głos wychodzi bez przerwy i fale głosowe nadpływają jedne po drugich, lecz każda z nich ma swoje właściwości. Fale takie przenoszą z sobą wszystkie odcienia mowy ludzkiej, wszystkie do niej należące tony górne, wszystkie nieregularne drgania zwykle jej przy wymawianiu spółgłosek towarzyszące. Uważana przez nas cząstka powietrza, tworząc jednę małą część składową fal głosowych, porusza się w każdym wypadku odpowiednio do tej fali, i odbywa ruchy ciągłe w tył i naprzód, z najrozmaitszą szybkością, zależną od każdego głosu szczególnego. Raz idzie szybko naprzód, potem powoli osłabia tę szybkość, po chwili znowu porusza się chyżej itd. Ciągle postępują po sobie zmiany szybkości zupełnie odpowiednie do modulacyi głosu. Otóż jeżeli potrafimy wywołać prąd elektryczny, którego natężenie będzie w każdej chwili proporcyonalne do chyżości drgających podczas wydawania głosu cząstek powietrza, to taki prąd ciągle po drucie przepływający, lecz zmieniający też ciągle swe natężenie, nazywa się *prądem falistym.* Zmianę natężeń takiego prądu moglibyśmy oznaczyć linią poziomą falistą o zmieniających się ciągle kształtach, które ma w ogólnych zarysach dość regularną formę falistą, lecz obok tego ma wiele drobniejszych zazębień.

Wszyscy poprzedni wynalazcy telefonów zastosowywali albo prądy przerywane, albo pulsacyjne, do przenoszenia tonów po drucie. Bell pierwszy zastosował prądy faliste i przy ich pomocy dopiero udało mu się zbudować swój mówiący telefon. Pierwszą myślą było urządzenie harfy o wielkiej ilości strun napiętych i przesyłaniu, dla oznaczenia samogłosek, prądów falistych, wywołujących drgania w kilku lub kilkunastu drutach, odpowiadających górnym tonom samogłoski. Naturalnie, że urządzenie takie byłoby niezmiernie skomplikowane, wydatki na doświadczenia byłyby ogromne, i to właśnie odstraszyło Bella od robienia dalszych w tym kierunku poszukiwań. Postanowił on wynaleść, jeśli się da, sposób daleko łatwiejszy i mniej kosztowny.

(Dok. nast.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY
PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez
JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVIII.

Opisujący przyjęcie generalnego gubernatora na wyspie Gurbi i wypadki jakie zaszły podczas jego nieobecności.

Galiota opuściła wyspę 31 stycznia, powróciła zaś na nią 5 marca, po trzydziesto pięciodniowej podróży — ponieważ ów rok ziemski był przestępnym. Tym trzydziestu pięciu dniom odpowiadało siedmdziesiąt dni gallickich, ponieważ słońce siedmdziesiąt razy przechodziło przez południk wyspy.

Hektor Serwadac doznał pewnego wzruszenia, przybliżając się do tego jedynego szczątka ziemi algierskiej, który uniknął zagłady. Kilka razy podczas długiej nieobecności zapytywał sam siebie, czy znajdzie go na tem samem miejscu, a wraz z nim wiernego swego Ben-Zufa. Niepewność ta była poniekąd uzasadnioną wobec tylu fenomenów kosmicznych, które tak głęboko zmodyfikowały powierzchnią Gallii.

Ale obawy oficera sztabu głównego nie ziściły się. Wyspa Gurbi znajdowała się na swojem miejscu, a nawet — szczegół dość dziwny — nim dopłynięto do portu Chelif, Hektor Servadac mógł się przekonać, że jakaś chmura niezwykłego pozoru rozciągała się na paręset stóp po nad jego posiadłością. Gdy Galiota znalazła się tylko o kilka węzłów od brzegu, chmura ta ukazała się jako gęsta masa, automatycznie wznosząca się i opadająca w powietrzu. Następnie kapitan Servadac przekonał się, że nie było to zbiorowisko pary, ale stado ptaków gnane powietrzem jak stado śledziów nurtem wody. Z tej ogromnej masy dolatywał wrzask ogłuszający, któremu zresztą odpowiadał dość częsty huk.

Dobryna oznajmiła swe przybycie strzałem z działa i zarzuciła kotwicę w małej przystani Chelifu.

W tej chwili nadbiegł mężczyzna ze strzelbą w ręku i jednym skokiem wpadł na pierwsze skały.

Był to Ben-Zuf.

Zrazu stał nieruchomy, z oczami utkwionemi na piętnaście kroków odległości, „jak nakazuje regulamin", i ze wszystkiemi oznakami uszanowania. Ale dzielny żołnierz nie mógł wytrzymać i rzuciwszy się na spotkanie kapitana właśnie wysiadającego na ląd, z rozczuleniem ucałował mu rękę.

W każdym jednak razie zamiast frazesów całkiem naturalnych: „Jakież to szczęście, że pana widzę! Jakże byłem niespokojny! Jakże nieobecność pana długo trwała!" — Ben-Zuf zawołał:

— Ha łotry! ha, zbóje! A! dobrze pan robisz, że powracasz, panie kapitanie! Złodzieje! nędznicy! beduiny!

— Na kogo tak się gniewasz Ben-Zuf? — zapytał Hektor Servadac, który z tych dziwnych wykrzykników wnioskował, że banda rabujących Arabów napadła jego posiadłość.

— A na to szatańskie ptactwo! — zawołał Ben-Zuf.—Oto już cały miesiąc marnuję proch na nich! Ale im więcej zabijam, tem więcej ich przybywa. O! gdyby im tylko pozwolić, tym Kabylom dzióbatym, to wkrótce nie mielibyśmy ani ziarna zboża na wyspie!

Hrabia i porucznik Prokop, przybliżywszy się do kapitana Servadac, mogli przekonać się, że Ben-Zuf nie przesadzał. Zboże, które szybko dojrzało, wskutek wielkich upałów styczniowych, w chwili gdy Gallia przechodziła swe perihelium, teraz było wystawione na łup wielu tysięcy ptaków. To, co zostało ze zbioru, było bardzo zagrożone przez te żarłoczne stworzenia. A trzeba wyraźnie powiedzieć „co pozostało ze zbiorów," gdyż Ben-Zuf nie próżnował podczas podróży *Dobryny* i widać było liczne kopy wznoszące się na płaszczyźnie, po części ze wszystkiego ogołoconej.

Co do ptaków, były to te, które Galia uniosła z sobą, gdy oderwała się od kuli ziemskiej. Naturalnie, że szukały one schronienia na wyspie Gurbi, ponieważ tam tylko znajdowały pola, łąki, wodę słodką — dowód, że żadna inna część asteroidy nie mogła zapewnić im pożywienia. Ale też chciały żyć kosztem mieszkańców wyspy — pretensyi tej należało oprzeć się wszelkimi możebnymi sposobami.

— Pomyślimy o tem, — rzekł Hektor Servadac.

— A! panie kapitanie, — zapytał Ben-Zuf, — a co się stało z kolegami w Afryce?

— Koledzy afrykańscy są ciągle w Afryce— odrzekł Hektor Servadac.

— Zuchy chłopcy!

— Tylko, że samej Afryki nie ma! — dodał kapitan Servadac.

— Nie ma Afryki! A Francya?

— Francya daleko od nas, Ben-Zufie!

— A Montmartre?

Był to krzyk z głębi serca! W kilku słowach kapitan Servadac odpowiedział swemu ordynansowi, co się stało, jako Montmartre, a z Montmartre Paryż, a z Paryżem Francya, a z Francyą Europa, a z Europą kula ziemska znajdowała się więcej aniżeli o ośmdziesiąt milionów mil od wyspy Gurbi. I co za tem idzie, nadzieja powrócenia tam kiedykolwiek powinna być prawie zaniechaną.

— E! e! — zawołał ordynans. — Nie może być!... Montmartre!... nie zobaczyć znowu Montmartre!... Głupstwo, panie kapitanie, głupstwo, uczciwszy uszy, panie kapitanie!

I Ben-Zuf potrząsnął głową, jak człowiek, który nie da się przekonać.

— Dobrze, mój zuchu, — odrzekł kapitan Servadac.—Miej ile chcesz nadziei! Nigdy nie należy rozpaczać. Jestto nawet dewiza naszego bezimiennego korespondenta. Ale zacznijmy od urządzenia się na wyspie Gurbi, tak jak gdybyśmy mieli na zawsze pozostać na niej.

Tak rozmawiając, Hektor Servadac, a za nim hrabia i porucznik Prokop udali się do chaty, dziś już odbudowanej staraniem Ben-Zufa. Posterunek również był w dobrym stanie, Galeta i Zefir mieli wygodną stajnię. Tu, w skromnej chatce, Hektor Servadac ofiarował schronienie swym gościom, jakoteż małej Ninie, której towarzyszyła koza. Po drodze ordynans sądził, iż może rozporządzić się dwoma zawiesistymi całusami na rzecz Niny i Marzy, które lube te istoty oddały mu z całego serca.

Potem odbyła się w Gurbi narada nad tem, do czego należy najpierwej wziąć się.

Najważniejszą kwestyą była kwestya pomieszkania na przyszłość. Jak tu ulokować się na wyspie w ten sposób, by wytrzymać straszliwe zimno, na jakie Galia będzie narażona w tej przestrzeni międzyplanetowej i przez czas, którego długości nie można było obrachować? Czas ten, w samej rzeczy, zależał od ekscentryczności orbity jaką przebiegała asteroida, i być może, iż wiele lat upłynie nim słońce powróci. Owóż paliwa nie było w obfitości. Węgla nic, drzewa bardzo niewiele, a było słuszne przypuszczenie, że nic nie wyrośnie podczas całego okresu straszliwego zimna. Co tu począć? Jak zapobiedz tym przerażającym ewentualnościom. Potrzeba było koniecznie wynaleść jakiś sposób i to jak można najprędzej.

Wyżywienie kolonii nie przedstawiało bezpośrednich trudności. Co do napoju, to nie było żadnej obawy. Kilka strumieni płynęło w dolinie i woda napełniała zbiorniki. A przytem wkrótce zimno spowoduje zamarznięcie morza Galickiego, lód zaś dostarczy płynu do picia w obfitości, gdyż nie będzie zawierać w sobie ani odrobiny soli.

Co do żywności właściwej, to jest substancyi azotowej, niezbędnej dla nakarmienia człowieka, to ta na długi czas była zapewniona. Z jednej strony zboże, gotowe do przeniesienia do stodoły, z drugiej bydło rozproszone na wyspie, tworzyło dość obfity zapas. Rozumie się, że podczas okresu zimna grunt pozostanie nieprodukcyjnym, a zbiór furażu, przeznaczonego dla zwierząt domowych, nie będzie mógł być odnowionym. Wypadało więc przedsięwziąć jakieś środki i jeżeliby udało się wyrachować długość ruchu Galii dokoła punktu przyciągającego, to wypadało, stosownie do tego okresu zimowego, ograniczyć ilość zwierząt, które mają być przechowane.

Co do teraźniejszej ludności Galii, to ta, nie licząc trzynastu Anglików w Gibraltarze, liczyła razem z załogą statku i małą Niną osób jedynaście.

Ale gdy Hektor Servadac ustanowił tę cyfrę, Ben-Zuf zawołał:

— Ale nie, panie kapitanie! Przepraszam, że panu zaprzeczę, ale to nie tak się rachuje!

— Co mówisz?

— Chcę powiedzieć, że jest nas dwudziestu trzech mieszkańców.

— Na wyspie?

— Na wyspie.

— Wytłumacz się, Ben-Zuf.

— Nie miałem jeszcze czasu uprzedzić pana kapitana. Podczas nieobecności jego przybyli do nas goście na obiad.

— Goście na obiad?

— Tak, tak!... Ale chodź pan — dodał Ben-Zuf — a może pójdą i panowie — rzekł zwracając się do hrabiego i porucznika. — Jak panowie widzą, roboty koło żniwa znacznie postąpiły; moje dwie ręce nie dałyby sobie rady z takim ogromem pracy.

— W samej rzeczy — zauważył porucznik Prokop.

— Więc chodźmy. To nie daleko. Wszystkiego dwa kilometry. A zabierzmy z sobą strzelby.

— By się bronić?... — zapytał kapitan Servadac.

— Nie od ludzi — odrzekł Ben-Zuf — ale od tych przeklętych ptaków.

Kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop, bardzo zaintrygowani, poszli za ordynansem, pozostawiwszy małą Ninę i kozę w chatce.

Po drodze kapitan Servadac i jego towarzysze ciągle strzelali do stada ptaków, unoszącego się nad ich głowami. Były tam tysiące dzikich kaczek, bekasów, skowronków, wron, jaskółek itd. z którem łączyło się ptactwo morskie, tudzież przepiórki, krzyki itd., każdy strzał trafiał i ptastwo padało tuzinami. Nie było to polowanie, ale tępienie bandy rabusiów.

Zamiast iść północnym brzegiem wyspy, Ben-Zuf poszedł w poprzek ku równinie. Po dziesięciu minutach podróży, dzięki stosunkowej swej lekkości, kapitan Servadac i jego towarzysze zrobili dwa kilometry drogi, zapowiedziane przez Ben-Zufa. Natenczas przybyli do rozległego lasu sykomor i eukaliptów, malowniczo rozrzuconego u stóp jednego wzgórza. Tam zatrzymali się.

— A, łotry! bandyci! beduiny! — zawołał Ben-Zuf, uderzając nogą w ziemię.

— Czy jeszcze mówisz o ptakach? — zapytał kapitan Servadac.

— Nie, panie kapitanie! Mówię o tych szatańskich próżniakach, którzy znowu opuścili robotę! Patrz pan sam!

I Ben-Zuf wskazywał na rozmaite narzędzia, jak kosy, sierpy, grabie, porozrzucane na ziemi.

— Ależ, Ben-Zuf! czy powiesz mi przecie, o co tu chodzi? — zapytał kapitan Servadac, poczynający niecierpliwić się.

— Ts! panie kapitanie, słuchaj pan, słuchaj! — odrzekł Ben-Zuf — nie omyliłem się!

Nadstawiwszy uszu, Hektor Servadac i dwaj jego towarzysze mogli usłyszeć głos ludzki wyśpiewujący, gitarę brzęczącą i kastaniety akompaniujące z wybornym taktem.

— Hiszpanie! — zawołał kapitan Servadac.

— A któżby inny? — odrzekł Ben-Zuf; ludzie ci gotowi są do tańca z kastanietami nawet przed otworem działa.

— Ale jakże się stało?...

— Niechno pan słucha jeszcze! — Teraz stary zaczyna.

— Inny głos, nie spiewający, klął w wyrazach najgwałtowniejszych.

Kapitan Servadac, jako Gaskończyk, dostatecznie pojmował język hiszpański. Podczas gdy spiewka brzmiała:

Tu sandunga y cigarro,
Y una cana de Jerez,
Mi jamelgo y un trabuco,
Que mas gloria puede haver *).

Inny głos, cierpki, powtarzał;

— Moje pieniądze! moje pieniądze! — Czy zapłacicie mi wreszcie coście dłużni, nędznicy?

A spiewka szła dalej;

Para Alcarrazas, Chielana,
Para trigo, Trebujena
Y para ninas bonitas,
San Lucar de Barrameda **)

— Tak jest! — zapłacicie mi, łotry! — ozwał się znowu głos wśród stuku kastanietów, zapłacicie mi, przez Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba! przez Jezusa Chrystusa! i przez samego Mahometa!

— A, do licha, to żyd! — zawołał kapitan Servadac.

— Gdyby żyd, to nie byłoby jeszcze nic — odrzekł Ben-Zuf;—znałem takich żydów, którzy nie namyślali się długo, gdy szło o zrobienie czegoś dobrego; ale ten tu, to żyd niemiecki i do tego z najgorszego gatunku podobnych żydów: jest to renegat wszystkich krajów i wszystkich religii.

W chwili gdy nowoprzybyli mieli wyjść do lasu, ciekawe widowisko zatrzymało ich na jego krawędzi. Hiszpanie rozpoczęli prawdziwy fandango narodowy. Otóż ponieważ ciężar ich stosunkowo zmniejszył się, tak jak wszystkich przedmiotów na powierzchni Gallii, podlatywali więc w górę na trzydzieści i czterdzieści stóp. Nic też w samej rzeczy nie było komiczniejszego nad tych tancerzy, ukazujących się tak po nad drzewami. Było między nimi czterech muskularnych chłopów, którzy unosili z sobą w powietrze piątego człowieka, starego, mimowolnie wciąganego na taką nienormalną wysokość. Widać go było, jak ukazywał się i znikał, jak niegdyś Sancho Pansa, wesoło kołysany przez sukienników Segowii.

Hektor Servadac, hrabia, Prokop i Ben-Zuf zagłębili się w las i doszli do niewielkiej polanki. Tam jeden gitarzysta i jeden stukający w kastaniety, wygodnie rozciągnięci na ziemi, za boki trzymali się od śmiechu, ciągle pobudzając tancerzów.

Na widok kapitana Servadac i jego towarzyszów, muzykanci nagle umilkli, a tancerze zaniechawszy swej ofiary wygodnie rozciągnęli się na ziemi.

Ale natychmiast renegat, rzucił się zadyszany ku oficerowi głównego sztabu i tłumacząc się

*) Twój wdzięk i cygaro i szklanka kseretu, mój koń i strzelba, cóż lepszego w świecie?

**) Dla Alcarrazas, Chielana dla zboża, Trebujena a dla pięknych dziewcząt San Lucar de Barrameda.

w języku francuskim, chociaż z silnym akcentem niemieckim, zawołał:

— Ach, panie gubernatorze! — te łotry chcą mi ukraść moje mienie! Ale na imię przedwiecznego! pan mi wymierzysz sprawiedliwość!

Tymczasem kapitan Servadac wpatrywał się w Ben-Zufa, jak gdyby zapytując go, co znaczy ta honorowa kwalifikacya, jaką mu nadawano, a ordynans skinieniem głowy zdawał się mówić:

— A tak, tak, kapitanie, — pan jesteś gubernatorem generalnym! Ja to tak ułożyłem!

Kapitan Servadac dał znak rezydentowi, by zamilkł i ten, pochyliwszy głowę, skrzyżował swe ręce na piersiach.

Natenczas można było przypatrzeć się mu dokładnie.

Był to człowiek pięćdziesięcioletni, ale zdawał się mieć lat sześćdziesiąt. Mały, wyschły, o małych fałszywych oczkach, nosie garbatym, żółtawej bródce, włosach w nieładzie, nogach ogromnych, rękach długich i kościstych, przedstawiał on znany typ niemieckiego żyda. Był to lichwiarz o karku giętkim, sercu suchem, i wielki konsument talarów. Zdawało się, że podobną istotę pieniądz przyciąga jak magnes żelazo, i gdyby ten Shylock ściągnął należność ze swego dłużnika, to niezawodnie sprzedawałby następnie mięso jego małemi porcyami. A przytem, chociaż był żydem z pochodzenia, robił się mahometaninem w prowincyach mahometańskich, gdy zysk tego wymagał, w razie potrzeby katolikiem wobec katolika, a zrobiłby się poganinem, byle zyskać na tem.

Żyd ten nazywał się Izaak Hakhabut i był z Kolonii, to jest był naprzód Prusakiem, a następnie Niemcem. Jak to oznajmił kapitanowi Servadac, podróżował on w swych celach handlowych przez większą część roku. Prawdziwem jego zajęciem był handel nadbrzeżny na morzu Śródziemnem. Magazyn jego — statek dwóchset beczek objemu, prawdziwy pływający sklep rozmaitości — obwoził po wybrzeżu tysiączne artykuły najrozmaitsze, poczynając od chemicznych zapałek do frankfurckich litografii kolorowanych.

Izaak Hakhabut, nie miał w samej rzeczy innego pomieszkania nad swój statek, nazwiskiem *Hanza*. Nie mając ani żony ani dzieci, żył na pokładzie. Jeden patron (przełożony) i trzech ludzi załogi wystarczało dla tego lekkiego statku, opływającego brzegi Algieryi, Tunisu, Egiptu, Turcyi, Grecyi i całej wschodniej okolicy. Tam Izaak Hakhabut, zawsze dobrze zaopatrzony w kawę, cukier, ryż, tytoń, materye proch i td. sprzedawał, mieniał i ostatecznie zarabiał niemałe pieniądze.

Właśnie *Hanza* znajdowała się pod Ceutą, na krańcu terytoryum marokańskiego, gdy nastąpiła katastrofa. Patron i trzej jego ludzie, którzy nie byli na pokładzie w nocy z 31 grudnia na 1. stycznia, znikli tak samo jak tylu innych im podobnych. Ale czytelnicy pamiętają że ostatnie skały Ceuty znajdujące się naprzeciw Gibraltaru, zostały zaoszczędzone, jeżeli ten wyraz mógłby tu być użyty, a wraz z niemi kilkunastu Hiszpanów, którzy ani się domyślali co zaszło.

Hiszpanie ci, Andaluzyjscy wieśniacy, lekkomyślni z natury, próżniacy z zamiłowania, zawsze gotowi do noża i do gitary, rolnicy z rzemiosła, mieli za naczelnika niejakiego Negrete, najwykształceńszego z całej bandy, jedynie dlatego, że więcej wałęsał się po świecie. Gdy ujrzeli się sami i opuszczeni na skałach Ceuty, byli niezmiernie zakłopotani. Znajdowała się tam *Hanza* ze swym właścicielem, a byli to ludzie, którzyby nie żenowali się opanować jej, by powrócić do ojczyzny, ale nie było między nimi marynarza. Nie mogli jednak wiecznie pozostawać na tej skale i gdy żywność ich wyczerpała się, zniewolili Hakhabuta, że ich wziął na swój pokład.

Wśród tych wypadków Negretego odwiedzili dwaj angielscy oficerowie z Gibraltaru, o czem wspominaliśmy wyżej. Co tam stanęło między Anglikami a Hiszpanami, Izaak nie wiedział. Jakkolwiekbądź po tej wizycie Negrete nakłonił Hakhabuta by wyszedł pod żagle i przewiózł go wraz z ludźmi na najbliższy punkt wybrzeża marokańskiego. Izaak zmuszony do posłuszeństwa, ale przywykły robić ze wszystkiego pieniądze, ułożył się, że Hiszpanie zapłacą mu za przeprawę, na co ci zgodzili się tem chętniej, iż zdecydowani byli nie dać ani szeląga.

Hanza wypłynęła 3 lutego. Przy zachodnim wietrze statek poruszał się z łatwością. Dość było puścić się z wiatrem. Więc improwizowanym marynarzom nie pozostawało jak tylko rozpuścić żagle by przybyć bezwiednie do jedynego punktu kuli ziemskiej, mogącego dać im schronienie.

Oto jakim sposobem Ben-Zuf, pewnego pięknego poranku ujrzał ukazujący się na widnokręgu okręt, nie podobny do *Dobryny*, a który wiatr powoli wpędził do przystani Chelifu, niegdyś prawego brzegu rzeki.

Ben-Zuf zakończył opowiadanie historyi Izaaka, dodawszy, że ładunek *Hanzy*, bardzo kompletny, byłby bardzo przydatny dla mieszkańców wyspy. Trudno zapewne będzie porozumieć się z Hakhabutem, ale w obecnych okolicznościach nie byłoby niedelikatnością zajęcie przez rekwizycyą jego towarów dla wspólnego dobra, ponieważ nie mógł się sprzedać.

— Co do trudności istniejących między właścicielem *Hanzy* i jego pasażerami, dodał Ben-Zuf,—to ułożono się, iż takowe zostaną załatwione polubownie przez jego ekscelencyę gubernatora generalnego, obecnie „odbywającego objazd inspekcyjny".

Hektor Servadac nie mógł powstrzymać się od śmiechu, słuchając tych wyjaśnień Ben-Zufa. Potem przyrzekł Izaakowi Hakhabut, że sprawiedliwość będzie mu wymierzona, co położyło koniec bezustannemu powoływaniu się na Boga Izraela, Abrahama i Jakóba.

— Ale, — rzekł hrabia, gdy Izaak oddalił się — jak ci ludzie będą mogli zapłacić?

— O! mają oni pieniądze! — odrzekł Ben-Zuf.

— Hiszpanie?... — to nie do uwierzenia.

— Mają, — powtórzył Ben-Zuf; na własne oczy widziałem; są to pieniądze angielskie!

— A! — zawołał kapitan Servadac, przypomniawszy sobie wizytę angielskich oficerów na Ceucie. Zresztą, mniejsza o to. Ułożymy to później. Czy wiesz pan, hrabio, że teraz Galia posiada egzemplarze wielu narodowości starej Europy.

— W samej rzeczy, — odrzekł hrabia, tylko Niemcy nieszczęśliwie są reprezentowane.

— Nie bądźmy zbyt wymagający, — odrzekł kapitan Servadac. (C. d. n.)

Przegląd nowszej literatury historycznej.

(Studya oryentalne. — Proces Galileusza. — Dzieło profesora Müllera o obecnej wojnie. — Rzymskie towarzystwo historyczne.)

W artykułach pod powyższym tytułem peryodycznie publikowanych, zamierzamy przesuwać przed oczami czytelników świeższe, a cenniejsze płody historycznego piśmiennictwa. Sądzimy też, że w czasie, gdy historyografia powszechna tak rozległe przybrała rozmiary, gdy drobne niekiedy szczegóły dziejowe sumiennej, a wytrawnej poddawane bywają krytyce, przegląd tego rodzaju może być użytecznym szczególnie dla tych, którzy specyalnie nie mogą śledzić tego żwawego ruchu historycznego.

Na wstępie zaznaczyć wypada olbrzymi postęp, jaki w ostatnich szczególnie czasach uczyniły badania nad dziejami starożytnego Oryentu. Odcyfrowanie hieroglifów na nowe tory zwróciło historyę Egiptu, w równinach między Eufratem a Tygrem powstały znowu, iście z pod ziemi, pałace assyryjskich i babilońskich królów, bibliotekę króla Asarhadona odnaleziono w gruzach jego pałacu, a najznakomitsze tegoż monumenta dostały się do brytańskiego muzeum. Nie dziw też, że okazała się potrzeba ujęcia w całość nowych na tem polu zdobyczy i przedstawienia dziejów starożytnego Oryentu na podstawie najświeższych odkryć. Rezultaty tych nowych badań w systematycznej całości podaje publiczności w Niemczech historya starożytna *Dunckera*, szczególnie w najnowszem opracowaniu, w Anglii dzieło Jerzego Rawlinsona: *the fur great monarchies*, a we Francyi Fr. Lenormanta: *Manuel d' histoire ancienne de l' Orient*, którego dotąd siódmą ogłoszono edycyę. Ze skrzętnemi i gruntownemi studyami Lenormanta zapoznaje niemiecką publiczność p. Busch w dziele wydanem w Lipsku pt. *Abriss der Urgeschichte des Orients bis zu den medischen Kriegen.* Nie jest to czyste tłómaczenie, lecz raczej wolne opracowane dzieła Lenormanta, a autor usiłuje nawet niektóre niedostatki francuskiego badacza uzupełnić i błędy prostować. Łatwo pojąć, że niemieckiemu pracownikowi nie podobało się zbytnie wynoszenie zasług francuskich w dziedzinie oryentalnych badań i zbyt sangwiniczne przyjmowane za prawdę wątpliwe jeszcze dotąd rezultaty.

Obok tak rozgłośnych studyów Lenormanta nie możemy zamilczeć o dziele znakomitego egiptologa G. Maspero wydanem w Paryżu pt. *Histoire ancienne des peuples de l' orient.* Wysokie zalety przyznaje krytyka jednomyślnie artykułom traktującym o religii i literaturze Egiptu, mniej zadowalniająco przedstawione dzieje żydowskie. W dodatku skreśla autor sposób pisania przyjęty w oryentalnym świecie, a mianowicie mówi o piśmie klinowem, o hieroglifach i o fenickim alfabecie, jak nie mniej o jego rozszerzeniu się po Zachodzie.

Jak jednak z jednej strony odcyfrowanie babilońsko-assyryjskiego pisma klinowego wzbudziło żywy interes w najszerszych kołach, tak z drugiej strony wywołało ono zagorzałą walkę pomiędzy uczonymi, w której zyskane zdobycze na polu assyryologii gruntownej uległy krytyce, podejmowanej przez najsłynniejszych znawców oryentalnej filologii i historyi. Uczony Schrader we wstępie do swej rozprawy: „*die assyrisch — babylonischen Keilinschriften*" (Zeitschrift der deutschen morgenländischen Gesellschaft. Bd. 26), wyzywa formalnie przeciwników do umiejętnego sformułowania i umotywowania swoich w tej mierze wątpliwości. Odpowiedzią na tę odezwę jest dzieło Alfreda Gutschmida publikowane w Lipsku pt. *Neuere Beiträge zur Geschichte des alten Orients*, zawierające w systematycznej całości wszelkie zarzuty, jakie przeciw metodzie przyjętej przez nowszych assyryologów ze stanowiska historyi podnieść się dadzą. Że odcyfrowanie zawiłego pisma oryentalnego powiodło się Oppertowi i że Schrader, a z nim i inni assyryolodzy zasłużyli się wielce około zrozumienia tekstów, to przyznaje z przyjemnością Gutschmid, ale za to długim szeregiem wyczerpująco przedstawionych dowodów zbija rezultaty wyzyskane z tekstów. Zapatrywania Gutschmida zasługują ze wszech miar na gruntowną rozwagę. Porównywając assyryologią z egiptologią, wskazuje Gutschmidt assyryologom nowszym, jak w wielu względach błędne przedstawienie historyi egipskiej podał Champollion Figeac w *Egypte ancienne*, lubo nikt zaprzeczyć nie może, że Champollion poprzednio bie-

*

roglify odcyfrował. Recenzent pracy Gutschmida pan C. A. Volquardsen w Sybla historycznem czasopiśmie, jakkolwiek usiłuje odpierać niektóre pociski autora, wymierzone przeciw assyryologii, to jednak całemu dziełu nie szczędzi gorących pochwał.

W końcu wypada wspomnieć o najświeższej publikacyi, wyszłej w Lipsku niedawno pt. *Geschichte Egyptens unter den Pharaonen, nach den Denkmälern bearbeitet von Dr. Heinrich Brugsch-Bey.* Autor pozostający w służbie wicekróla, co poświadcza dołączony do imienia tytuł, był szczęśliwszy od wielu innych, że nie w ciągu ściśle ograniczonej podróży naukowej, ale w długim lat szeregu mógł przedmiot swoich studyów na miejscu badać. Otwierały się też dlań we wszystkich kierunkach bogate źródła, z których ani poprzednicy jego, ani nawet współcześni czerpać nie mogą. Niniejsze obszerne dzieło Brugscha stanowi niejako dopełnienie publikowanej przezeń jeszcze przed 18 laty historyi Egiptu pod Faraonami. Praca zresztą cała, z umiejętną metodą wykończona, opiera się w najdrobniejszych szczegółach na pomnikach przeszłości, na zachowanych dotąd monumentach i zwojach papyrusowych i uwzględnia zarazem studya i zapatrywania wszystkich znakomitszych egiptologów. Obszerną i gruntowną tej pracy recenzyą podaje w ostatnich numerach „Augsburger Allgemeine Zeitung.“

Po tak pobieżnym przeglądzie najcenniejszych prac na polu oryentalnej historyografii, zajmą nas dwie publikacye, dotyczące tyle głośnego procesu Galileusza. Tego samego dnia, w którym traciła Florencya najgenialniejszego artystę Michała Anioła (18 lutego 1564) ujrzał światło dzienne w Pizie jeden z najznakomitszych badaczy przyrody Galileo Galilei. Był to czas, w którym nauki przyrodnicze olbrzymim uległy przewrotom. System kopernikański, zaznaczający nieruchome stanowisko słońca pośród dróg planetarnych i zakreślający ziemi obrót około jej własnej osi i około słońca, a później odkryte przez Keplera prawa krążenia planet około słońca, wskazywały jasno nową dobę w rozwoju samoistnych badań i odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych. Systemu polskiego astronoma podejmuje się bronić Galileo Galilei, wynalazłszy nadto prawa spadania i wahadła i uzasadniwszy statykę w naukowy sposób. Nowy ten ruch umiejętny, te świeże na świat poglądy bywały z początku z uśmiechem odrzucane, nie tylko przez teologów, ale także przez znaczną liczbę przyrodników; dla jednych byli powagami Aristoteles i Ptolomeuz, dla drugich ojcowie kościoła i biblia. Galileo, jako wczesny zwolennik Kopernikańskiego systemu, wejść musi w konflikt z obozem teologów rzymskich, a pierwszą sposobność do kościelnego przeciw niemu śledztwa podał list jego pisany do ucznia i przyjaciela, p. Cassellego. Kurya rzymska wybitne zajmuje stanowisko wobec wielkich spornych kwestyi astronomicznych. Obrót ziemi około słońca ogłasza za formalne kacerstwo. Uczony przyrodnik nie mógł odtąd kopernikańskiego systemu bronić, jako prawdy. Wówczas tedy w swoim słynnym „dyalogu o dwu najznakomitszych systematach świata,“ ogłasza Galilei naukę Kopernika, jako hipotezę, zastrzegając zarazem władzom kościelnym głos rozstrzygający w tej wielkiej sprawie. W lutym 1632 ukazał się dyalog Galileusza, a w pół roku później wysadza papież osobną komisyą celem dokładnego zbadania tego dzieła i w ten sposób rozpoczął się rozgłośny jego proces wobec rzymskiej kuryi.

Z bystrością krytyczną, z wytrawnym na rzecz poglądem podał Karol Gebler w obszernej swej pracy: *Galileo Galilei und die römische Kurie* (433 stron), przebieg tego ciekawego procesu. Obszerną tej pracy recenzyą zamieścił berliński profesor Zeller w czasopiśmie „Deutsche Rundschau.“ Całą atoli historyą inkwizycyjnego procesu musiał autor zestawić na podstawie dosyć niedbale przez Mariniego publikowanych aktów. Cennem dla tego uzupełnieniem pracy Geblera jest edycya tychże aktów wedle manuskryptów watykańskiego archiwum, sporządzona z całą starannością przez p. Domenico Berti pt. *Il processo originale di Galileo Galilei publicato per la prima volta.* Już z historycznego wstępu, poprzedzającego zbiór aktów i z listu otwartego do Geblera wystosowanego, a do dzieła dołączonego, czytelnik łatwo pozna, jakie nowe zdobycze w sprawie procesu przyniosła publikacya p. Bertiego.

Schorzały i złamany 69-letni starzec, musiał Galilei stawać przed inkwizycyjnym urzędem w Rzymie. 22go czerwca 1633 r. w kościele St. Maria sopra Minerva wobec uroczystego zgromadzenia duchownych dostojników odczytano mu wyrok. Uznano, że z powodu obrony kopernikańskiego systemu, dopuścił się Galilei kacerstwa, dzieło jego zostaje potępionem, a autor sam skazany na karę więzienną przez trzy lata, raz w tydzień obowiązany odmawiać siedm psalmów pokutnych. Bezpośrednio po odczytaniu wyroku musiał Galilei na klęczkach nie tylko twierdzenia o obronie ziemi uznać za błędne, ale zarazem zobowiązać się do denuncyowania każdego, ktoby w obronie systemu kopernikańskiego wystąpić się odważył. Po tem moralnem samobójstwie złagodzono karę więzienia o tyle, że Galilei najpierw w willi w. księcia toskańskiego, później w pałacu swego przyjaciela arcybiskupa Picolomini, a z końcem roku 1633 w wili Arcetri koło Florencyi był internowany. Tu powstały ostatnie wielkie prace, któremi ten niestrudzony geniusz umiejętność wzbogacił. Galilei jednak był i pozostał więźniem inkwizycyi. Umarł 8go stycznia 1642 r., w tym samym roku, w którym Newton się urodził. W cichości pochowano jego zwłoki, żaden pomnik nie zdobił jego grobu. Dopiero r. 1737 złożono ciało w kościele Sta Croce we Florencyi i wzniesiono wielkiemu przyrodnikowi pomnik obok Michała Anioła i Macchiawellego.

Z całego potoku prac i broszur ulotnych, zajmujących się wypadkami współczesnymi, rozgrywającymi się na bałkańskim półwyspie, wspomnieć musimy o rozpoczętem dziele profesora tübingeńskiego Wilhelma Müllera pt. *Der russisch-türkische Krieg 1877.* Wstępna scena nad Bosforem, rossyjskie wypowiedzenie wojny, wymarsz rossyjskiej armii nad Dunaj, operacye wojenne w Azyi, przekroczenie Dunaju, przejście Bałkanu, walki w Czarnogórze, zajęcie Nikopoli i walka pod Plewną, to zajmujące obrazy, w których autor ma rozwijać polityczne i militarne stosunki toczącej się wojny. Imię profesora Müllera zaszczytnie zresztą znane w uczonym świecie, jako autora historyi wojny r. 1870/1, dalej politycznych dziejów teraźniejszości i najnowszej biografii cesarza Wilhelma.

Na zakończenie niniejszego artykułu wypada wspomnieć o zorganizowanem przed kiku miesiącami towarzystwie rzymskiem dla badania ojczystej historyi. Towarzystwo rozpoczęło zarazem wydawać naukowy kwartalnik, a już w pierwszym tegoż zeszycie znajdujemy obszerne i gruntowne badanie Tomasiniego o średniowiecznej historyi Rzymu i nowszych pracach na tem polu. I tak pod prezydencyą Corvisierego, któremu szczególnie historyczna topografia Rzymu w wiekach średnich wiele zawdzięcza, pracują pan Adinolfi, na tem samem polu z nieznużoną pilnością znakomite osiągający rezultaty, dalej J. Ciampi, który dla toskańsko umbryjskiej historycznej deputacyi sporządził edycyę kronik i statutów z Viterbo, nie mniej Rudolfo Lanciani, skrzętny pracownik w dziedzinie archeologii, a w końcu G. B. de Rossi i Pietro Ercole Visconti. Z kwartalnika *Archivio della Società Romana di storia patria* ukazały się dotąd w wytwornem wydaniu trzy zeszyty.

M. Ch.

Piśmiennictwo polskie.

Bolesławicz. Biała książeczka. Lwów, 1878.

Justyn Hoszowski. Zbigniew, powieść wierszem. Lwów, 1878.

Aureli Urbański. Poezye, wydanie drugie pomnożone. Lwów, 1878.

Włodzimirz Stebelski. Humoreski. Lwów, 1878.

Rodoć. Piosnki i Gawędy humorystyczne, zeszyt V. Bruksella, 1878.

Robert Hammerling. Ahaswer, poemat w 6 pieśniach, przekład *Władysława Ordona.* Lwów, 1877.

Zbiorek poezyi pana Bolesławicza, w białą ustrojony sukienkę, rozpoczyna się od wiersza pod tytułem „Chmura prozy.“ Treścią tej chmury, o ile ją zwyczajny rozum zdoła przeniknąć, jest ubolewanie nad teraźniejszem poniżeniem poezyi w Polsce. Zaiste, niepodobna nie ubolewać z p. Bolesławiczem, czytając te naprzykład jego wiersze:

> To też w Polsce tak ponuro!
> Walka piękna z prozy chmurą
> Już ustała, bo złe wyżej,
> A zaś piękno poszło niżej.
> Dawna miłość z wagą w ręku
> Szuka dzisiaj prozy wdzięku itd.

Ale poeta pociesza, że to nie długo potrwa przyjdzie wiosna i pieśń odżyje, i znów Polska (Biedna ta Polska! chciałoby się utworzyć przykazanie dla poetów i rozmaitych tromtadratów: nie będziesz używał imienia Polski nadaremnie!) otóż znów Polska

> istnieć będzie
> Z *czynem...* sławą w jednym rzędzie.

Ktoby się zaś chciał dowiedzieć jak *czyn* wygląda, gdzie mieszka, jak się ubiera i co robi, ten niech przeczyta następujący ustęp z Chmury:

> Jest gmach wzniosły, nie z topazu,
> Ani z cedru, ani z głazu,
> Ni ze złota, ni ze stali,
> Tylko z *męztwa szumnej fali.*
> W nim zamieszkał czyn wspaniały:
> *Strojny* w ciche łez kryształy —
> Cichy, zimny.... wciąż milczący...
> Ale nieba sięgający!...

Zdaje się, że wszelki komentarz do przytoczonych wierszy byłby zbytecznym dla czytelników „Tygodnia;“ zdaje się także, że przytoczone wiersze mogą dać dokładne wyobrażenie o polocie i fantazyi poety. Nie będę więc czytelników, zastraszonych tą chmurą, co się na czele zbiorku ukazała, nie będę ich przez całą białą książeczkę prowadził, podzielę się tylko z nimi następującą uwagą:

Biała książeczka ma trzy arkusze druku; koszta zatem jej wydania, licząc już okładkę i introligatora, wynoszą zapewne około sześćdziesięciu reńskich. Otóż za sześćdziesiąt reńskich można niejedną rzecz bardzo pożyteczną zrobić, naturalnie zstąpiwszy w chmurę prozy: można się naprzykład nauczyć jakiego obcego języka, można się nauczyć buchhalteryi, albo wreszcie jakiego pożytecznego rzemiosła. Nie będzie to zapewne czyn sięgający nieba, a zamieszkały w gmachu z męztwa szumnej fali, ale będzie to produkcyjne użycie grosza. Nie stosuję tej uwagi wyłącznie do poezyi p. Bolesławicza, ale do wielu a bardzo wielu dzisiejszych elukubracyi poetyckich. Winni tu nie tyle sami piszący, opanowani wierszomanią, a tęskniący do sławy, o której sądzą, że dość się wspiąć na palcach, aby jej dostać, ile rozmaici przyjaciele, doradcy, którzy wezwani o radę i sąd, nie mają zwykle dość śmiałości czy szczerości, aby powiedzieć, że wiersze dyabła warte, i szkoda pieniędzy na ich drukowanie.

Do tej kategoryi zaraz należy także Zbigniew — pana Justyna Hoszowskiego, powieść osnuta na tle powstania Polski (ale którego? niewiadomo.) Jest to prawdziwy gmach „z szumnej fali poetyczno-patryotycznych frazesów,“ gdzie takie np. strofy jak (str. 87):

> Girlando zjawisk bez kresu i granic,
> Ileż uroku lśni z ust twej urody!
> Serce twe z przemian, pierś z wieczności tkanic,
> A za cel danyć: kwiat szczęścia i zgody.

nie należą do rzadkości, a i owszem niemal na każdej stronicy się napotykają. Nie wspominałbym też wcale o tym utworze, tak w interesie autora, jak i czytelników, gdyby nie mała okoliczność, że na tytułowej karcie wypisano: Czysty dochód przeznaczony na oświatę ludową. Od wiekopomnego czynu jakiegoś pana galicyjskiego, który dał na rzecz oświaty ludowej 10 centów z dewizą: „bis dat, qui cito dat," nie było większego szyderstwa z oświaty ludowej, jak to ofiarowanie jej poematu, o którym mowa. Bo mniejsza już o treść, a raczej o brak treści, ale nawet gramatyka, pisownia, czasem rymy powykręcane tu są w sposób najokropniejszy:

A z pojęć swych o życiu — wolnem od pogardy —
Niezdarłyś nawet pieluch — choć *wzrósłyś w milardy*.
(str. 11.)

Naturalnie, że tym razem szyderstwo jest nieumyślne, ale właśnie dla tego tem silniejsze. W nieumyślnem tem szyderstwie zawiera się myśl głęboka, że trzeba ażeby warstwy wyższe i średnie były naprawdę oświecone, jeżeli ma oświata skutecznie przenikać do warstw najniższych. Dopóki tacy panowie, jak ów dziesięciocentowy dobroczyńca, i tacy poeci, jak autor Zbigniewa, będą w większości, dopóty mała nadzieja na rozkrzewienie oświaty wśród ludu.

Poezye Aurelego Urbańskiego, do których teraz przechodzimy, są w znacznej części powtórzeniem zbiorku wierszy, który przed kilku laty wyszedł był pod ogólną nazwą „Szarego ptaszęcia." Za oryginalnością pan Urbański nie goni, to też nie ma jej w jego poezyach. W niektórych wierszach wzorami dla p. Urbańskiego są Heine i Asnyk. Tak n. p. wiersz p. t. „Leżała w trumnie" jest jakby parafrazą pewnego bardzo pięknego wiersza Asnyka na ten sam temat; takie zaś wiersze jak „Po latach", „Pomyłka", „Tylko kochała", „W wagonie", nastrojone są na ton Heinowski. Do udatniejszych należą: „Gwiazdka", „Skarga", a przedewszystkiem „Burza", poemacik liczący około stu wierszy, a napisany do muzyki pana W. Czerwińskiego. Główną bowiem zaletą poezyi pana Aurelego Urbańskiego jest wielka muzykalność wiersza, która właśnie ma w „Burzy" najlepszą sposobność do objawienia się. Oto na próbę początek „Burzy":

Już zgasło słonko boże;
Na niebios czystem tle
Wieczorne wschodzą zorze;
Już gwiazdek błysło dwie —
I dwie — i trzy — i więcej —
I niezliczona moc...
Aż w końcu wśród tysięcy
I księżyc wyjrzał w noc...
Gdzieś flet pastuszy dzwoni;
Piosenkę wietrzyk niesie,
A echo wciąż ją goni,
Wtorując jej po lesie...

Zwolna zasypia w koło cały świat.
Brzmi chór dziękczynny z pod wieśniaczych chat;

— Panie! Pod piecze Twych skrzydeł,
— Składamy w spokoju
— Nasze skronie,
— By po dziennym znoju
— Wypocząć mogły w krzepiącym je śnie.
Rozpostrzyj Ojcze nad nami Twe dłonie,
— Usłysz to wołanie,
— Błagamy Cię, Panie,
Błagamy Cię...

I pieśń umilka... Sennie marzy sioło...
Mgły nocnej całun okrył garstkę chat.
Noc głucha — Cisza w około —
We śnie głębokim spi spokojnie świat...

Po tem nagle zasępia się firmament i następuje burza. Muzykalność wiersza można podziwiać, ale metereologii poety możnaby coś zarzucić. Zdaje mi się przynajmniej, że noc, w której księżyc wypływa na czyste niebo, a mgły na dół opadają, że noc taka nie ma naj mniejszego usposobienia do burzy.

(Dok. nast.)

KRONIKA ODKRYĆ i WYNALAZKÓW.

Nie ma już gazów stałych!

Rok 1877, tak bogaty w najrozmaitszego rodzaju wynalazki, został świetnie zakończony odkryciami nadzwyczaj wielkiej doniosłości. Panowie Cailletet w Paryżu i Raoul Pictet w Genewie, wykazali, że wszystkie gazy, które dotąd uważane były za stałe, to jest takie, które nie zamieniają się na płyny, ani pod wielkiem ciśnieniem, ani też pod wpływem wielkiego zimna, nie są stałymi, i że w pewnych warunkach można je w stanie płynnym otrzymać.

W ten sposób powietrze, którem oddychamy, przyprowadzone zostało do stanu płynnego i widziano je wypływające ze zbiornika w postaci aromatycznego płynu.

Przypatrzmy się trochę bliżej tej sprawie. Wiadomo, że wszystkie ciała, a więc i gazowe składają się z małych, niewidzialnych ani gołem okiem, ani też mikroskopem cząstek, zwanych w nauce *drobinami*. Otóż od wzajemnego oddalenia tych drobin od siebie zależy i stan ciał. Miejmy jakiś przykład np. wodę na oku; przechodzi ona jak wiemy z łatwością przez wszystkie trzy stany: stały, płynny i gazowy. Widzieć ją możemy jako lód, płynną wodę i parę. Otóż w lodzie, drobiny są bardzo blisko od siebie, w wodzie dalej, a w parze najdalej. Użyciem ciepła możemy łatwo z lodu zrobić wodę a z wody parę, gdyż ciepło ma własność oddalania od siebie drobin każdego ciała. Odwrotnie działaniem zimna możemy z pary otrzymać przez skroplenie wodę a z wody lód. Prawo to było ogólnem prawie i wyłamywało się zeń tylko kilka gazów. Jednak już twórca chemii nowoczesnej, Lavoisier, przeczuwał, że będą one wszystkie z czasem sprowadzone do innego stanu. Pierwsze zgęszczenie gazu, który był uważany za stały, zostało dokonane przez Faradaya wpierwszej połowie naszego stulecia. Ten wielki fizyk, zdołał wpływem silnego ciśnienia zamienić na płyn kwas węglowy, gaz ulatujący z wody sodowej. Był to pierwszy krok w tym kierunku.

Jednak przed kilku tygodniami mieliśmy jeszcze sześć takich gazów, które nie były posłusznymi najsilniejszemu ściskaniu i największemu oziębianiu. Były to: *wodór, tlen, azot, gaz błotny, dwutlenek azotu* i *tlenek węgla*.

Wodór i tlen są, jak wiadomo, składnikami chemicznymi wody, a tlen zmięszany z azotem tworzy powietrze.

Otóż panu Cailletet we Francyi udało się przedewszystkiem zgęścić na płyn dwutlenek azotu, a gaz błotny, pod wpływem silnego ciśnienia i jednocześnie wielkiego oziębienia, przyjmował postać gęstej mgły, podobnej prawie do płynu.

Dnia 2. grudnia złożono w Akademii paryskiej list p. Cailletet, donoszący o zgęszczeniu tlenku węgla i tlenu. Dnia 16. grudnia p. C. powtórzył swe próby w pracowniach paryskiej szkoły normalnej.

Prawie jednocześnie (d. 22 gr.) panu Raulowi Pictet w Genewie udało się dojść do takiegoż samego rezultatu, pan Loynes bowiem w Paryżu otrzymał dnia tego telegram donoszący o zgęszczeniu tlenu.

W kilka dni potem p. Cailletet tak silnie ścisnął wodór i podał go takiemu oziębieniu, że ujrzał go w postaci obłoczka, co już każe spodziewać się bliskości stanu płynnego.

Dnia 31 grudnia w ostatni dzień bieżącego roku wpuszczono w szkole normalnej do przyrządów ściskających i oziębiających powietrze, które poprzednio jak najstaranniej oczyszczono i uwolniono od kwasu węglowego i pary wodnej. Puszczono w ruch machiny ściskające i ze zbiornika po pewnym czasie wypłynęło powietrze strumieniem.

Rok 1877 tak obfity w wynalazki i odkrycia, nie mógł być w samej rzeczy świetniej zakończonym!

B. Abakanowicz.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 10. stycznia.

A co? Nie sprawdza się przepowiednia moja co do podejrzanej uczciwości tego 1878 roku? Przyjechał do nas sanną, czysto, pogodnie — a tymczasem już w kilka dni zwinął chorągiewkę i dmuchnąwszy zachodnim wiatrem, sprowadził na umartwienie stróżów kamienicznych prawdziwą klapaninę. — Być może, w tem zdarzeniu tkwi wyższa myśl c. k. przedlitawskiego Rządu wspieranego przez Opatrzność, aby nagłem spuszczaniem z dachu lawin śniegowych za kołnierz swawolnych Lwowian, ostudzić zagorący patryotyczny ich animusz, z którym nawet c. k. prokuratorya miejscowa rady sobie dać nie może. — Bywajże zatem zdrowa ty bałamutna sanno, i ty szkląca jak zwierciadło panieńskiej duszy ślizgawko, bez których życie prawdziwego Lwowianina tak fatalnie topnieje, jak śnieg po ulicach. Musimy to sobie przyznać, że my Polacy w ogóle lubimy nadzwyczaj ślizgawkę, stawiając sobie takową za główny cel naszego zajęcia. Mężowie stanu, urzędnicy, literaci, artyści, przemysłowcy i wszyscy ci, których przypięte społeczne Halifaxy podnoszą nieco do góry, z wielką przyjemnością ślizgamy się po wszystkich przedmiotach, wywijając zgrabne esy i floresy na tej galicyjskiej arenie życia publicznego. Powoli krok za krokiem nikt nie chce stąpać — to bardzo nudna sprawa, żółwia robota; ale tak na łyżwach fantazyi puszczać się naprzód i spotykać na tej drodze panią Karyerowską, błyszczący order, stosy adresów, telegramów, powinszowań, tytułów, puharów i czołobitności — bardzo lubimy. Nic więc dziwnego, że przeciętny Lwowianin, straciwszy doświadczalną arenę panieńskiego stawu, — martwi się tym brakiem agitacyi, i gotów zrobić jakąś ruchawkę, choćby przed ratuszem, gotów koncypować różne adresy, programy, aby tylko niedopuścić stagnacyi umysłowej, prowadzącej wprost na cmentarz Łyczakowski. Gdybym kiedy mógł zostać prezesem gabinetu przedlitawskiego, albo przynajmniej ministrem rodakiem, kazałbym co kilka dni polewać całą Galicyę wodą, i mroziłbym tę wodę nawet chemicznym sposobem, aby poczciwi postępowcy nasi mogli

się wyślizgać do woli, i zaręczam, ani w głowie by im nie powstała organiczna praca, lub coś podobnego, jak zajęcie się krzewieniem przemysłu domowego... Co się tyczy wielkiej polityki, naprzykład wyboru nowego papieża, lub małżeństwa króla Hiszpańskiego, to wszystkie te, i tym podobne z kwestyi wschodniej experymenta, zostałyby na lodzie, a nie trapiły codziennych czytelników gazet, i nie suszyły tylu politycznych głów galicyjskich.

Ot i teraz — jak nie stało ślizgawki, to dbające o przyjemności swych członków kasyno mieszczańskie nagwałt kazało wyfroterować podłogi swych salonów i co sobota zaprasza amatorów na zabawy, mające choć jakie takie podobieństwo do ślizgawek. Przyjemnej zabawy, szanowne czytelniczki, tylko nie przy boskiej muzyce Harmonii, bo pogubiłybyście takt, który właśnie wobec wytraczonych donżuanów i na tak śliskiej posadzce opuszczać was nie powinien. Wprawdzie pożądanym bywa czasami nietakt serca panieńskiego, szczególniej dla mam, mających kilka takich serc na wydaniu; lecz tu więcej w rachubę idzie nietakt wąsatej połowy rodzaju ludzkiego, dla których ślizgawka na panieńskim stawie... chciałem powiedzieć sercu, wcale nie jest obcą. Jeżeli więc melodya Harmonii nie pomięsza im dotychczasowej wyrafinowanej taktyki — to powiecie razem ze mną, że ci ludzie zamiast nerwów mają postronki, a zamiast krwi w żyłach uśmierzające piwo krasiczyńskie.

Brak ruchu, spowodowany odwilżą, zmusił i literackie kółka lwowskie do pewnej agitacyi. Nowe pisma peryodyczne, dzięki rozmiękczonej glebie, rzucają swoje ziarna na przyszły posiew wiosenny. *Strzecha* już kwitnie, *Strażnica* wschodzi, *Łowiec* wypuszcza źdźbło z kiełka, a wspaniały *Piast* częstuje swych gości plastrami miodu w formie poufnych listów, w których jednakże mściwe pracownice zostawiły po kilka żądeł. I wielki potentat, pogromca wszelkich galicyjskich bezprawi, ów liberalno-bezwyznaniowy *Dziennik Polski*, już ósmy raz w swojem dość krótkiem życiu zmieniający właściciela, schronił się pod gronostajami podbity płaszcz książęcy. Nie wątpimy, że teraz będzie mu tam ciepło, i że nie potrzebując dla częstego ogrzewania się wywoływać sztucznego ruchu, jak to dotychczas miało miejsce — racyonalnie utyje na pociechę i pożytek społeczeństwa, czego mu z całego serca życzymy.

Widziałem, kochani czytelnicy Nitkę Jedwabiu, nie w żadnym norymbergskim sklepie, ale w teatrze. Pan Sardou jest mistrzem w plątaniu intrygi, tego mu nikt nie zaprzeczy, ale tym razem musi ustąpić miejsca naszym artystom. Skutkiem braku pamięci, co się przytrafia czasami i kapłanom Melpomeny, tak umieli misternie poplątać ową nitkę jedwabiu, że nawet ta poczciwa z aniołem kurtyna na ten raz zapomniała swej roli, i nie chciała się spuścić przy końcu aktu, aby zakryć ten zagmatwany węzeł z poplątanej nitki. Dyrekcya z tego powodu jest w niemałym kłopocie, musi postawić dwie nowe budki na scenie, jedną dla artystów, bo ta co jest, już nie wystarcza — a drugą dla kurtyny, bo i ta ze starości potrzebuje głośnego podpowiadania.

I pierwsza maskarada się nie udała, choć miała cel bardzo chwalebny przyjścia z pomocą artystom, ma się rozumieć nie co się tyczy pamięci. Ja się temu nie dziwię, choć rzetelnie sprzyjam wszystkim artystom i artystkom naszym, ale z góry zapewniam, że w teraźniejszych czasach wszelkie maskarady już nie mają najmniejszej szansy powodzenia. Jak można żądać od ludzi, żeby dla zabawy kładli maskę, której w codziennem życiu nigdy nie zdejmują? Dawniej, kiedy to jeszcze kwitła w najlepsze szlachecka cnota i prostota, chodząc w stroju pierwszych ludzi po ulicach, zabawnem było dla tych pań włożyć na twarz swoją udaną złośliwość, obłudę i jego ekscelencyą dowcip. Dziś przeciwnie, człowiek wtenczas się bawi, jeżeli może tę maskę codziennego życia odrzucić na stronę i pohulać sobie ze swobodnym oddechem. Dla tego daleko byłoby logiczniej urządzać właśnie *niemaskarady*, aby każdy mógł pokazać się tem, czem jest w rzeczywistości. Zwracam uwagę Dyrekcyi na tę okoliczność, zwłaszcza że do zabawy przeznaczone są sale sejmowe, gdzie tyle już nudnych widzieliśmy zabaw maskaradowych.

Pomimowoli przyszedłem myślą na Sejm i upór jego, gdy chodziło o wzięcie w dzierżawę folwarku Dublańskiego. Wiadomo, że w tych dniach zarząd Szkoły wyższej rolniczej w Dublanach przeszedł na Wydział krajowy, który przyjmując tę nową biedę na swoje ramiona, wobec nieuwzględnienia przez Sejm propozycyi dzierżawy, znalazł się w położeniu hr. Beusta, gdy ten krajał dualistyczną konstytucyę dla monarchii austryackiej. Szanowny hrabia miał do czynienia z dwiema połowami, a Wydział krajowy przepisując statut organizacyjny dla tej również krajowej szkoły rolniczej i szkoły krajowych parobków, musiał się liczyć 1° z panem ministrem rolnictwa, 2° z c. k. galicyjskiem towarzystwem gospodarskiem, 3° z tryumwiralną kuratoryą szkoły, i 4° z sobą samym. Otóż miejże tu rozum choćby dwóch Beustów i stwórz harmonię między tymi żywiołami, i utrzymaj jaki taki ład, aby szkoła nie tylko istnieć, ale i korzystnie na przyszłość rozwijać się mogła. Część folwarku dostaje szkoła na urządzenie pól doświadczalnych, ale nie ma budynków, gdzieby swe inwentarze pomieścić mogła. Na drugiej części gospodaruje c. k. towarzystwo rolnicze i pożycza sprzężaju szkole do uprawy przeznaczonego jej terytoryum. Szkoła obowiązana jest radzić Zarządowi folwarku, co się tyczy prowadzenia gospodarstwa, pożyczać swych narzędzi, posyłać uczniów szkoły parobków do roboty, a uczniów szkoły rolniczej do dozoru. Nawzajem administracya folwarku ma dawać karmę dla koni szkolnych, nawóz dla pól, utrzymywać buhaje, cielęta i inne tym podobne stworzenia rogate i nierogate szkoły, a wszystko to za wzajemną zapłatą, za porozumieniem, za interwencyą i za obrachunkiem.... Nie wchodzę tu w inne jeszcze drobnostki codziennego obcowania między sobą tych różnorodnych żywiołów, o których instrukcya wspomina, bo łatwo się domyśleć, że usiłowano przewidzieć wszystko możebne i na to przygotować lekarstwo, tworząc jeszcze piątą instytucyą najwyższego Dublańskiego Sądu polubownego. I pytam was, moi panowie posłowie na Sejm krajowy, czy godziło się odmawiając dzierżawy folwarku kosztującej 2000 złr. rocznie, narażać szkołę wyższą jedną jedyną rolniczą w Galicyi na takie kłopotliwe istnienie, a waszą władzę wykonawczą na marnowanie sił swoich i dobrych intencyi w sposób tyle drażliwy, w jaki go uchwała wasza postawiła... Czyż to nie potwierdza skłonności naszej, nawet takiej instytucyi jak Sejm krajowy, do ślizgania się po przedmiocie stanowiącym o edukacyi rolników w Galicyi. Nie dziwcież się potem i nie narzekajcie, jeżeli synowie wasi, którzy wyjdą z tej szkoły, zamiast o roli, tylko o ślizgawce życia myśleć będą.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *O wychowaniu domowem.* 8ka str. 16. Warszawa 1877. 2 ct.

— *Pamiętnik Wystawy* krajowej rolniczej i przemysłowej we Lwowie 4o. Lwów. Nakład księgarni Polskiej 1877. 3 fl.

— *Pitschman Artur.* Elementarna teorya muzyki. 8ka str. 68. Warszawa 1877. 85 ct.

— *Piwo i rozmaite tegoż fałszowania.* 8ka str. 14. Lwów 1877. 5 ct.

— *Reich E. dr.* Studya nad kobietą. Przełożył z niem. S. Kramsztyk. 8ka str 357 i XVI. Warszawa 1878. 3 fl.

— *Skarga Piotr.* Wzywanie do pokuty. 16ka str. 80. (51 tomik Bibl. Mrówki.) Lwów nakład Księgarni Polskiej 1878. 20 ct

— *Słowacki J.* Ksiądz Marek 16ka str. 123. (57 tomik Biblioteki Mrówki.) Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1876. 35 ct.

— *Szajnocha Karol.* Dzieła. Tom IX. Dwa lata dziejów naszych. 8ka str. 307. Warszawa 1877. Tom po 3 zł.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— W Krakowie od Nowego roku rozpoczął wychodzić *Dwutygodnik naukowy,* poświęcony archeologii, historyi i lingwistyce. Nr. I zawiera: Kamienna karta dziejów przez Teodora Ziemięckiego, Wykopaliska w Jabłówku, Tytusa Pileckiego, Hipoteza o Haliczu Słowackim przez Michała Chylińskiego, Pietniczany i ich dziedzice, napisał Drwęca, Wiadomości. Bibliografia.

— W Warszawie Dr. K. Dobrski wydawca „Pamiętnika nauk lekarskich" od Nowego roku zapowiada nowe wydawnictwo: *Zdrowie,* dwutygodnik popularno-naukowy, poświęcony naukom przyrodniczym i hygienie. Jest to pierwsze pismo lekarskie, przeznaczone dla publiczności i życzyć mu należy, aby się rozpowszechniło i krzewiło zasady, podtrzymujące zdrowie.

— W Poznaniu J. Chociszewski wydawać rozpoczął czasopismo p. t. *Lech,* tygodnik illustrowany. Mamy przed sobą Nr. okazowy, który zawiera: Od redakcyi (właściwie prospekt), Stara piosnka o Lechu, Odezwa względem założenia szkoły drzeworytniczej w Poznaniu, Malowniczy opis Polski (prospekt dziełka, które p. Chociszewski ma zamiar wydać). Nowe książki (wydane przez p. Chociszewskiego) Łamigłówki. Cały więc numer, odrzuciwszy prospekta, składa się z 4 zwrotek starej piosnki o Lechu (widocznie źle podanej, bo sensu w niej dojrzeć trudno) i z łamigłówek. Nadto kilka drzeworycików. Sądząc z numeru na okaz, wątpimy aby p. Chociszewski wzbogacił literaturę peryodyczną swoim Lechem i aby Wielkopolska mogła się cieszyć tym nowym kwiatkiem nadwarteńskim.

— Ostatni z ubiegłego roku numer *Dyabła* zawiera bardzo ładną rycinę przedstawiającą Gorczakowa w postaci niedźwiedzia, na którym siedzi Bismark w postaci małpy, niedźwiedź zabiera się do gryzienia kości (Turcya) a małe pieski (Rumuni, Serbowie) spokojni czekają na resztki z niedźwiedziej uczty. Z drugiej strony zgraja psów (mocarstwa europejskie) ujada, nie chcąc dozwolić niedźwiedziowi tej uczty. Wogóle *Dyabeł* wyrobił się na wyborne pismo humorystyczno-satyryczne.

— *Bez szczęścia,* nowella M. D. Chamskiego wyszła w osobnej broszurze.

— *Strażnica,* pod tym tytułem J. Gniewosz rozpoczął wydawać tygodnik przemysłowo-ekonomiczny.

— Słynne przed dwudziestu laty dzieło Wilczyńskiego *Kłopoty starego Komendanta,* znane młodszemu pokoleniu tylko z tradycyi, gdyż wnet po wyjściu rozkupione zostało i nigdzie z niem spotkać

się już nie było można, wyjdzie wkrotce we Lwowie, w edycyi illustrowanej. Jest to najlepsza humorystyczna powieść, jaką w literaturze naszej posiadamy.

— M. Rodoć wydał znowu nowy zeszyt (V) swoich *Piosnek humorystycznych*. Zeszyt następny wyjdzie w marcu.

— *Pochodnie Nerona* są już w drodze do Lwowa i lada dzień tu przybędą.

Podróże.

— Od czasu do czasu dochodzą nas pewne wieści o dwóch podróżnikach naszych, pp. Jelskim i Stolcmanie.

Uczeni ci naturaliści zwiedzają, jak wiadomo w celach naukowych, Kordyliery, zbierając cenne okazy, którymi od czasu do czasu zbogacają gabinet zoologiczny uniwersytetu warszawskiego — i gromadzą ważne notaty naukowe.

Podróżnicy znajdują się już w połowie drogi, odpoczywając zaledwie co drugi lub trzeci dzień.

Stolcman zbiera głównie ptaki, Jelski zwierzęta.

W listach do rodziny panowie ci komunikują wiele ciekawych szczegółów o mieszkańcach okolic, które zwiedzają.

Zaznaczają szczególniej, jako nader charakterystyczny rys ich charakteru, niezwykłe zamiłowanie do handlu. Każda rzecz jest tam do nabycia. Szczególniej, gdy zawita do nich jaki cudzoziemiec, wystawiają wszystko, co tylko mają na sprzedaż.

Namiętność ta jest wrodzoną wszystkim, zacząwszy od najuboższych aż do bogaczy.

W pewnem mieście gubernator, dowiedziawszy się o przybyciu naszych podróżników, wystawił na ich przybycie przed swym domem stoły, na których złożył cały swój dobytek, przeznaczając go na sprzedaż.

Z tym instynktem spekulacyjnym łączy się niezwykła gościnność, której celem jednakże jest zatrzymać jak najdłużej u siebie gościa, aby go skłonić do kupna różnych przedmiotów.

Często ofiary, jakie w tym celu ponoszą, przechodzą wartość zysku, otrzymanego z handlowych spekulacyi.

Jeszcze jeden rys charakterystyczny tamtejszych mieszkańców zaznaczają podróżnicy.

Nie umieją oni uszanować cudzej własności, nie ma tam prawie człowieka, któryby nie kradł.

Moralność kobiet stoi bardzo nisko.

Zbiór listów, jakie Stolcman przesyła swojej rodzinie, mieści w sobie wiele ważnych wiadomości z podróży, które uzupełnią w przyszłości specyalne notaty, jakie czynią obaj uczeni.

Hr. B. zajmujący się losem podróżników, przesłał im olbrzymią ilość szpilek do owadów, prochu, śrótu i kul, oprócz różnych innych niezbędnych w tak mozolnej i niebezpiecznej podróży przedmiotów.

Panowie ci ukończą swą wycieczkę i powrócą do Warszawy za 4 lata.

Wojna.

— Nowy wynalazek wojenny. Moskiewski inżynier Pachomow wynalazł płyn palny, za pomocą którego można osadę nieprzyjacielskiego okrętu wydalić z pokładu. Komisya, do zbadania tego wynalazku wydelegowana, taką o nim wyraziła opinię: Płyn, którego skład jest tajemnicą Pachomowa, zapala się bardzo łatwo. Przy zapaleniu się płynu rozszerza się płomień bardzo szybko na cały przedmiot, który nim oblany został. Płyn wyrzucony z sikawki zapala się bardzo łatwo za pomocą środka umyślnie w tym celu przez wynalazcę urządzonego. Statek, z którego się ten płyn sikawką wyrzuca, nie ulega niebezpieczeństwu zapalenia się. Aparat, którym się przy próbie posługiwano, był mały i źle urządzony, a mimo tego rezultat był pomyślnym; przy użyciu dobrych przyrządów, rezultat powinien być jeszcze lepszym. Komisya jest zdania, że ten wynalazek bardzo skutecznie przeciw nieprzyjacielskim statkom zastosowany być może.

— Namioty dla armii rosyjskiej, zamówione u fabrykantów pruskich, jak donosi berlińska „Börs. Ztg.", już w liczbie 150.000 odesłane zostały na widownię wojny.

Wynalazki.

— Szklanne czcionki. Jedna z fabryk paryzkich, posiadająca patent na wyroby z niedawno wynalezionego szkła elastycznego, wyrabia od pewnego czasu czcionki drukarskie z tego materyału. Próby z czcionkami temi wypaść miały nad wszelkie spodziewanie świetnie, a dzienniki paryskie zapewniają, że stoimy dzięki wynalazkowi temu wobec wielkiego przewrotu w sztuce drukarskiej. Czcionki ze szkła elastycznego mają być równie twarde, jak dotychczas używane kruszcowe i w taki sam sposób jak dotychczasowe bywają odlewane, tę zaś korzyść mają nad tamtemi, że nie ulegają wcale zniszczeniu od walców w tłoczniach, nie zbijają się i znacznie są tańsze od kruszcowych. Dalej jako wielką ich zaletę i to podnieść należy, iż nie są tak szkodliwe dla zdrowia drukarzy, jak dotychczasowe ołowiane.

— Telefon znalazł w Ameryce nowe praktyczne zastosowanie. Służy mianowicie za wyborny środek komunikacyjny pomiędzy spuszczonymi na dno nurkami a ludźmi na brzegu lub pokładzie okrętu.

— Tlen w stanie płynnym. Wielki problem naukowy rozwiązał w ostatnich czasach chemik francuski pan Raoul Pictet. Journal des Debats podaje o tej nowej zdobyczy naukowej, otwierającej nową erę w postępach fizyki, następującą wiadomość. Tutejsza akademia umiejętności otrzymała od bawiącego w Genewie chemika p. Dumasa zapewnienie, że w istocie powiodło się p. Raoulowi Pictet gaz tlenowy pod naciskiem 320 atmosfer przy temperaturze 140° poniżej zera, zamienić w płyn. Jednocześnie próba podobna powiodła się także chemikowi p. Cailletet, i to nietylko z tlenem, ale także z innym gazem, o którym mniemano dotąd, że się nie da w płyn zamienić, mianowicie z tlenkiem węgla. Obecnie więc jeszcze tylko 2 gazy, wodór i azot, opierają się wszelkim usiłowaniom chemików, mającym na celu sprowadzenie ich ze stanu lotnego do płynnego. Po najnowszych jednak powodzeniach osiągniętych w tym kierunku z tlenem i tlenkiem węgla można mieć uzasadnioną nadzieję, że chemicy i z niemi się uporają. (patrz kronikę odkryć).

— Oświetlenie elektryczne. Dzienniki berlińskie donoszą: Pierwsza w Berlinie próba oświetlenia gmachu publicznego płomieniem elektrycznym odbyła się w środę w nowej synagodze przy ulicy Ormiańskiej, w obecności licznego towarzystwa. Sporządzenia światła elektrycznego podjęli się pp. Siemens i Halske. Lokomobil ustawiony na podwórzu wytwarzał elektryczność, którą za pomocą drutów odprowadzono do wnętrza gmachu. Dwa płomienie elektryczne szerzyły takie światło, że w najodleglejszych galeryach synagogi można było czytać książkę.

ROZMAITOŚCI.

— O pewnym wypadku tak letargu opowiadają dzienniki. Ubogi wyrobnik mieszkający przy ulicy de Vinai griers od dłuższego czasu złożony był ciężką chorobą. W zeszły piątek stan chorego pogorszył się bardzo, a około północy zdawało się, że już śmierć nastąpiła. Na drugi dzień rodzina mniemanego nieboszczyka po oględzinach lekarskich zarządziła przygotowania do pogrzebu, który miał się odbyć trzeciego dnia. W ostatniej już chwili syn mniemanego zmarłego spostrzegł, że zwłoki są ciepłe jeszcze. Przywołany lekarz sprawdził istotnie wypadek letargu a we dwanaście godzin później chory otworzył oczy. Ujrzawszy przy sobie lekarza, który go nie odstępywał, rzekł: „Jakże mi pomógł ten krótki sen! Czuję się znacznie zdrowszym". Widocznie więc nie miał świadomości tego, iż przez trzy doby leżał jak martwy. W istocie stan chorego od chwili przebudzenia się jego z letargu tak się polepszył, że obecnie nie zagraża mu już niebezpieczeństwo.

Farsa pana Paraff. Pokazało się, że mniemany sekret wydobywania złota z minerału miedzianego w Chili, który już zaniepokoił nawet Towarzystwo ekonomiczno-polityczne w Belgii, z powodu mogącej ztąd wyniknąć zupełnej rewolucyi w zasadach systemu monetarnego całego świata, był prostem oszustwem obliczonem na łatwowierność ludzi, chciwych zysku. Ów Paraff, który niby w rękopiśmie jakiegoś dawnego duchownego z Potozi, znalazł sekret wydobywania złota z miedzi, obficie znajdującej się w Chili, sposobem dawnych oszustów z czasów alchemii, na małych próbkach wykazywał niby znaczny wydatek złota, które miał poprzednio rozpuszczone w płynach używanych do rzekomego procesu chemicznego. Na tę zręczną wędkę złapał licznych kapitalistów, którzy ogromnym kosztem, bo dwóch milionów franków, zbudowali wielką fabrykę do tej eksploatacyi, a mniemany alchemik zebrawszy znaczną sumę ze sprzedaży akcyi tego przedsiębiorstwa, ulotnił się. Zwiedzeni kapitaliści ogłosili już w kilku dziennikach od siebie ostrzeżenie, aby publiczność nie wdawała się w żadne dalsze operacye z akcyami tak zwanego Towarzystwa A. Paraff i Spółka, które rozpoczęło likwidacyą na żądanie niektórych członków towarzystwa, z powodu, że wiadomości podawane w przedmiocie produkcyi złota z miedzi chilijskiej okazały się najzupełniej fałszywemi.

Szczególnego rodzaju wizytę miała jedna z mieszkanek Warszawy.

W samo południe, a więc w porze wizytowej, melduje się młody człowiek i żąda widzenia się z panią domu.

Służba wnosząc z wykwintnej powierzchowności, prosi jegomościa do salonu i o wizycie uprzedza panią, która też niezwłocznie wyszła na przyjęcie.

Młody człowiek rozpoczął od rekomendacyi, a na uprzejme zaproszenie, zająwszy miejsce z całą śmiałością, przystąpił do wyjaśnienia interesu, który go sprowadza.

Jegomość ów żądał, aby pani domu cofnęła skargę wniesioną przeciwko niemu, jako temu, którego przed kilkoma miesiącami... schwytano w jej mieszkaniu na złodziejstwie!

Prośba nie skutkowała, a wezwany natychmiast lokaj, otrzymał rozkaz podania paltota i wskazania drogi do wyjścia... salonowcowi.

W Londynie w dniu 23go października rozpoczął się kolosalny proces, do którego powołano na świadków sto dziesięć osób, oskarżonych zaś jest dwustu dwudziestu ludzi. Proces ten zwrócił na siebie powszechną uwagę nie tylko w Anglii, ale w całej Europie; uważamy więc za stosowne umieścić o nim niektóre szczegóły. Na czele policyi w Londynie, pod nadzorem komisarza generalnego pułkownika Hendersona, stoi t. z. nadintendant Withamson i czterech inspektorów, panowie: Clarke, Palmer, Meiklejsohn i Durscovich, którzy na żądanie władzy zostali oskarżeni o sprzedajność, o dawanie pomocy przestępcom, którzy tym sposobem unikali przez długi czas karzącej ręki sprawiedliwości. Czterej owi inspektorowie tym sposobem oskarżeni są o współudział w całym szeregu przestępstw i jako tacy podlegają karze ciężkich robót na całe życie, wedlug praw angielskich. Wszyscy czterej już od dawna są w służbie, Clarke i Palmer od lat trzydziestu, Meiklejsohn i Druscovich od lat piętnastu. Oprócz tego, oskarżonym jest także policyant tajny M. Frogatt o to samo przestępstwo. Debaty trwać będą przeszło trzy tygodnie, a przez cały ten czas sędziowie przysięgli odosobnieni będą od świata. Nie wolno im otrzyywać listów, czytać dzienników, rozmawiać z kimkolwiekbądź. Pod strażą specyalnych agentów codzień rano przeprowadzają ich z wyznaczonego im mieszkania, gdzie są utrzymywani kosztem rządu, do sądu, zkąd takim samym orszakiem wracają. Co niedziela wyjeżdżają, także pod strażą na wieś dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Dzienna płaca sędziego przysięgłego wynosi około 3 fr. 75 cent., co wcale nie jest wiele. Mieszkają oni w starym gmachu, zwanym Old Bailey; sale audencyonalne są arcyniewygodne, ale mają bezpośrednią podziemną komunikacyą z więzieniem Newgate, gdzie są trzymani trzej oskarżeni; Frogatt zaś i Clarke odpowiadają z wolności, złożywszy kaucyi po 26 tysięcy franków. Od godziny 8 rano sale sądowe zapełnione są ciekawą publicznością, dziennikarzami i rysownikami, wysłanymi przez rozmaite gazety.

Akt oskarżenia, wygłoszony przez prokuratora generalnego brzmi jak następuje:

W przeszłym roku banda łotrów popełniła kilka kradzieży na wielkie rozmiary, z których najważniejszą była kradzież 250.000 franków u pewnej damy francuskiej. Bardzo zręczny agent policyjny Abrahams, zdołał natrafić na ślad złodziei i po licznych zabiegach zaaresztował trzech złodziei w Holandyi a jedного w Londynie. Pomimo całej swej energii oraz pomocy, jaką mu udzielili wyżsi agenci policyjni w Londynie, Abrahams zauważył, że ktoś stawia mu ciągle przeszkody — a nawet kiedy już przestępcy zostali przyaresztowani i uwięzieni, na przekor przepisom więziennym, złodzieje komunikowali się ze sobą.

Przytrzymano nawet jakieś indywiduum, które starało się uwięzionym wręczyć plan budynku, w którym byli zamknięci, wraz z potrzebnemi do ucieczki wskazówkami. Wskutek tego Abrahams złożył raport ministrowi spraw wewnętrznych, p. Cross, prosząc o wyjaśnienie całej sprawy. Jakoż jeden z uwięzionych Benson zeznał, że kilku naczelników policyi londyńskiej było z bandą w spółce, otrzymując za to od każdej kradzieży znaczny procent. Indagacya innych skazanych potwierdziła w zupełności zeznanie Bensona, wykryte ślady, listy, nie pozostawiły najmniejszej wątpliwości o fakcie. Meiklejsohn tym sposobem przez kilka lat zyskał parękroć sto tysięcy franków, Palmer, Druscovich i Clarke nieco mniejsze sumy. Inspektorowie policyi i złodzieje zwykle razem jadali, i żyli ze sobą w stosunkach arcyprzyjaźnych. Pan Cross minister spraw wewnętrznych, bez uwagi na skandal, oddał całą sprawę pod sąd, która nie dziw, że narobiła tyle wrzawy. Niesłychana to bowiem rzecz, ażeby najwyżsi urzędnicy policyjni byli w spółce ze złodziejami. Skutkiem tego nastąpi zapewne w dość krótkim czasie zupełna reorganizacya policyi angielskiej, która dotąd szczyciła się tak wielką sławą, a jak widzimy nie zbyt zasłużoną.

CZY JESTEŚ KAPRALEM?

Z dziennika starego żołnierza w wojnie amerykańskiej

przez

FR. C. WICKEDE.

Noc była bardzo ciemna, wiatr ryczał swą żałośną muzykę, deszcz lał strumieniami a las szumiał jak morze wzburzone. Mój towarzysz, Tomasz Burk, i ja, mogliśmy się zaledwie rozpoznać w naszym namiocie. Czekaliśmy właśnie na rozkaz Jonesa, kaprala straży, który nas miał posłać na wedetę, niedługo potrzebowaliśmy czekać na niego i każdy z nas był prędko na swem stanowisku.

Miejsce dla mnie wyznaczone było dość odległe od obozu, na brzegu wielkiego pola kukurudzy, które się ciągnęły na całą milę angielską. Było to miejsce bardzo samotne, i mój towarzysz był odemnie o dobry kawał oddalony, wiatr przewiewał pomiędzy zielonymi liśćmi kukurudzy i wywoływał szum, który można było przyrównać do głuchych jęków przelatujących duchów. Ciemność była tak wielką, żem zaledwie mógł rozpoznać otaczające mię przedmioty, i to z wielkim trudem w niepewnych zarysach. Deszcz lał jak z cebra i w krótkim czasie przemokłem do nitki, moje wielkie buty ze skóry wołowej przemokły tak wodą, że przy każdym kroku kwiczały jak prosięta bawiące się w kałuży.

Zaczęło mi być zimno i zacząłem szybko chodzić w tył i naprzód, by się zagrzać i aby nie dać skostnieć członkom wprawiałem się w fechtunek bagnetem, robiąc gwałtowne uderzenia w powietrze. Podczas tych ćwiczeń zostałem raptownie przerażony jakimś głosem skrzeczącym po za mną: czy jesteś kapralem? czy jesteś kapralem? wołał ktoś dziwnym głosem.

„Kto idzie?“ — zawołałem obróciwszy się w jednej chwili, i naciągając kurek od karabina.

„Czy jesteś kapralem? czy jesteś kapralem?“ — powtórzono jak poprzednio.

Zdawało się, iż głos pochodzi z miejsca tuż pod płotem, dzielącego mię od pola kukurudzianego, jednak nie mogłem dojrzeć mówiącego.

„Czy jesteś kapralem? czy jesteś kapr—“

Głos przycichł raptownie, gdym się zbliżył do samego płotu. Nachyliłem się, aby zajrzeć przez płot do kukurudzy: wielka, ropucha siedziała na jednym z drągów płot stanowiących. Gdym patrzał na to szkaradzieństwo, błysnęło ono na mnie raz jednym, a potem obojgiem oczu, w sposób pogardliwy, jakby chciało powiedzieć:

„Jak moje skrzeczenie może przestraszyć rozsądnego człowieka?“ — i musiałem się rozśmiać mimowolnie.

„Jak to się stać mogło“ — mówiłem sam do siebie, żebym głos ropuchy wziął za głos ludzki. Po chwilowem namyśle musiałem sobie jednak powiedzieć, że przecież tak się zdarzyło i zły na siebie za to, żem się dał w ten sposób oszukać swej własnej fantazyi, wróciłem na swe stanowisko, i zacząłem chodzić tam i napowrót. Zaledwiem jednak przeszedł się kilka razy, uderzył znów głos skrzeczący o moje uszy: „Czy jesteś kapralem? czy jesteś kapralem?“ Jednym skokiem byłem przy płocie, przekonany już mocno tym razem, że słyszałem głos ludzki. Lecz nie było widać nikogo, tylko ropucha siedziała na płocie poważnie i z godnością jak poprzednio.

„Niech cię wszyscy djabli wezmą!“—krzyknąłem prawie ze złością, — „któraż to ropucha dobrze wychowana skrzeczy podczas takiej pogody?“ Jakby na przekor odezwał się znów głos: „Czy jesteś kapralem? czy jesteś kapralem?“ — zdumiony cofnąłem się wstecz — słowa mogły pochodzić tylko od ropuchy, przypatrywałem się jej z szeroko otwartemi oczyma i rozdziawioną gębą. Co to był za gatunek żaby, mający głos ludzki? Musiało być coś jednak cudownego w tej całej sprawie. Słyszałem już o mówiących ptakach, ale o mówiących ziemnowodnych, mianowicie o ropuchach jeszcze nie! Ta którą miałem przed sobą, była w każdym razie tak ciekawa, że postanowiłem pokazać ją swym towarzyszom. Trzeba było ją złowić, łatwo to uczyniłem. Chwyciłem ją do ręki, i chociaż mi się wyrywała wsadziłem do tornistra. Potem zacząłem chodzić naprzód i w tył jak poprzednio. Zaledwie jednak oddaliłem się o pięć kroków od płotu, usłyszałem znów głos skrzeczący, wołający kaprala, i uderzyło mię że słowa pochodzą nie od ropuchy. Ażeby się przekonać dokładnie, przyłożyłem tornister do ucha i słuchałem powtórzenia głosu. Nie długo potrzebowałem pozostawać w tej pozycyi, gdyż po kilku minutach odezwał się głos dawniejszy. Z pewnem uczuciem rozczarowania opuściłem tornister, gdyż mowcą nie była ropucha, jak sądziłem. Głos wychodził z tego miejsca, gdziem ją złowił i miałem podejrzenie, że to który z moich towarzyszy ukrywszy się w kukurudzy, chciał się moim kosztem zabawić. Zwróciłem kroki znów do płotu, i uderzyłem kolbą w trawę z zamiarem ukarania psotnika dobrem uderzeniem. Lecz w tej chwili ujrzałem długą szyję, na której sterczała wychudła twarz, z której para głęboko osadzonych dziwnie błyszczących oczu była we mnie wlepiona.

„Czy jesteś kapralem, — kapralem?“— zapytano mię znów skrzeczącym głosem.

„Kto jesteś?“— krzyknąłem prawie przerażony tajemniczem zjawiskiem.

„Buntownik, buntownik, buntownik?“— zaskrzeczało znowu. — „Zastrzelono mię pod Fair-Oaks. Jestem zabity, zabity, zabity, ale mój duch żyje jeszcze — szukam kaprala, kaprala, kaprala, który mię zastrzelił!“

Gdy to mówił, ujrzałem w jego podniesionej ręce nóż błyszczący i odskoczyłem szybko jeden krok w tył; jednocześnie wycelowałem w czoło buntownika i wypaliłem.

Wystrzał rozległ się po polach i po lesie, a buntownik stał na swojem pierwotnem miejscu i patrzał na mnie głębokiemi nadziemskiemi oczyma. Wiedziałem, żem dobrze celował, wiedziałem, że broń moja była ostro nabita — zrobiło mi się jakoś dziwnie, i zdawało mi się iż mi drżały kolana, gdym jak pijany wpatrywał się w dziwne zjawisko. Mówiło ono prawdę, nie było tam ani mięsa, ani krwi, lecz tylko jakieś powietrzne zjawisko, przez które moja kula bez szkody przeleciała jak przez jaki dym lub parę.

„Hi, hi, hi!“ Zaśmiało się widmo i zawołało znowu swego kaprala. Lecz potem wyszło naprzód i położyło rękę na płocie. Zdawało mi się, że chce przezeń przeskoczyć, aby się rzucić na mnie, i odskoczyłem kilka kroków w tył, by módz się bronić bagnetem. W tej samej chwili zaleciały do mego ucha odgłosy zbliżających się kroków, ujrzałem blask latarni, w kilka chwil potem stał obok mnie kapral z sześcioma walecznymi. Zbiegli się oni na mój wystrzał. Muszę wyznać, że zrobiło mi się lżej na sercu, gdym ujrzał taką obronę.

„Dlaczegoś strzelał?“ — zapytał mię przełożony.

Pokazałem na miejsce, w którem przed sekundą stał przedemną napastnik z podniesionym nożem. Już go nie było. Opowiedziałem swą przygodę i byłem wyśmiany. Kapral zrobił uwagę, iż jestem tchórz i dałem się powodować fantazyi. Utrzymywałem się jednak przy swojem zdaniu, lecz drwiono ze mnie. „Fe“ — rzekł kapral — „taki duży chłop a boi się stać w nocy na samotnem stanowisku.“—Opuścił mię po tych słowach i wrócił do obozu; byłem zły, żem się naraził na drwiny i zacząłem się znów przechadzać w tył i napowrót. Lecz jeszcze ostrzej niż pierwej przypatrywałem się podejrzanemu miejscu, lecz nie ujrzałem już żadnego zjawiska i po skończonej służbie powróciłem do namiotu.

Mniej więcej w godzinę potem zostałem obudzony głosem towarzysza, który mię na wedecie zastąpił i który z całej siły krzyczał, wołając straż na pomoc. Byłem ciekawy, czy ma z moim duchem do czynienia, chwyciłem za karabin i pobiegłem na miejsce. Towarzysz mój stał na miejscu i trzymał za kark zjawisko.

„Czy jesteś kapralem, kapralem?“ skrzeczał więzień otoczony zbiegającymi się ze wszech stron żołnierzami—„jeżeli nim jesteś, to powiedz mi — jestem buntownikiem, buntownikiem, buntownikiem, zastrzelono mię pod Tair-Oaks“.

„To waryat!“ — krzyczeli moi towarzysze.

„Teraz wywoływacz duchów“— rzekł kapral do mnie — „patrz czyż on nie jest z mięsa i ze krwi“.

„Nie“— odpowiedziałem — „ja widzę tylko skórę i kości“ — i w samej rzeczy była to postać wynędzniała, której z twarzy patrzał głód i pomięszanie zmysłów.

„Daj mi teraz twój karabin“ — rzekł kapral „może ten biedak strzelał a nie ty.“

Badanie jednak wykazało, żem wystrzelił a byłem znany jako dzielny strzelec. Oddał mi więc broń napowrót, lecz gdy świtać zaczynało przekonałem się, że strzelba nie należała do mnie, lecz do mego towarzysza Bunka, i została przezemnie w nocy zamienioną. Bunk miał stanowisko Nr. 4 w bliskości namiotu majora, a ponieważ ten oficer był raz postrzelonym, nie wolno było jego szyldwachom ładować ostro broni. Bardzo mi było przyjemnie, że rzeczy wzięły taki obrót, gdyż nigdybym sobie nie wybaczył zabicia biednego warjata. Trochę zawstydzony powiększeniem moich wiadomości przyrodniczych w ten sposób, wypuściłem nieznacznie ropuchę z tornistra, którą w zamięszaniu zabrałem był z sobą.

Od Redakcyi.

Wny Pan T. Z. w Krakowie. Artykuł pański „Katedra na Wawelu“ w możliwie najkrótszym czasie będzie drukowany w „Tygodniu“.

Wny Pan Dr. Z. w Rzeszowie. Otrzymaliśmy, dziękujemy i za parę tygodni druk rozpoczniemy, jak tylko pokończymy druk rozpoczętych rzeczy w „Tygodniu“. Na podany warunek zgadzamy się.

Wny Pan S. W. w Londynie. Przypominamy się uprzejmej pamięci pańskiej i prosimy o nas nie zapominać.

Wny Pan R. Z. List pański zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

SPROSTOWANIE.

W numerze poprzednim przy końcu „Obrazku paryzkiego“ mylnie podano *C. d. n.* albowiem obrazek ten jest skończony.

Treść Nr. 20.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.